Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 3. Października 1880 r. **Tom XI.**

TYGODNIK POLSKI

Nr. 40.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z powodu wystawy etnograficznej w Kołomyi.

Wystawa wyrobów ludu ruskiego na Pokuciu i Hucułów, jakoteż płodów przyrody okolic Czarnohory, urządzona w drugiej połowie września b. r. w Kołomyi, staraniem oddziału Czarnohorskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, zasługiwała nietylko na uwagę najtroskliwszą każdego miłośnika rzeczy swojskich z powodu obfitości i oryginalnej piękności nagromadzonych na niej okazów, z powodu umiejętnego, systematycznego i z gustem iście artystycznym dokonanego rozkładu i układu przedmiotów wystawowych, z tego wreszcie powodu, że stanowiła ona przedsięwzięcie poczciwe, w najszlachetniejszej podjęte intencji i najzupełniej udałe — lecz każdy, komu szczerze na sercu leży rozwój materjalny kraju naszego, powinien uważać wystawę kołomyjską za punkt wyjścia do całego szeregu dalszych usiłowań, tej samej poświęconych idei.

Jak w poezji ludowej „kołomyjka“ zajmuje bezsprzecznie jedno z najzaszczytniejszych miejsc, odznaczając się śpiewnością i niezmierną obfitością odmian jej formy zasadniczej, tak samo też i co do stroju kobiet i mężczyzn, mieszkania, zwyczajów i obyczajów swoich posiada lud tamtejszy pewne wybitne cechy oryginalne, świadczące o niepospolitem jego uzdolnieniu umysłowem — o zmyślności jego i znakomicie wyrobionem poczuciu piękna. Przejawia się to na zewnątrz tak w wykwintniejszem niż gdzieindziej urządzeniu mieszkań włościańskich, w ubiorach bogatych w barwy, okrytych haftem i rozmaitemi ozdobami, jak wreszcie i w tem, że każdy sprzęcik do podręcznego użytku, jak np. broń, toporki, laski, pasy, torby, kaletki, fajki, krzesiwka, przetyczki do fajek i t. d. posiadają pewien fason właściwy, świadczący o artystycznem rozmiłowaniu tego ludu w ozdobności.

Lecz nietylko strona artystyczna jest interesującą na wystawie kołomyjskiej. Gdy pod wpływem dawnych systemów rządów austrjackich, a w nowszych czasach pod wpływem konkurencji wyrobów fabrycznych i fiskalizmu władz podatkowych przemysł domowy włościan podupadł w Galicji i w niektórych okolicach zatracił się niemal w zupełności, to w Kołomyjskiem utrzymał się w całej świeżości jakimś cudem do dziś, i prawdziwie zdumiewa bogactwem swojem i urozmaiceniem.

Widzimy tam przedziwne hafty różnobarwne na bieliźnie, kilimkach i dywanach; płóciennictwo i sukiennictwo nader udoskonalone w kilku kierunkach, garncarstwo w rozkwicie; tokarstwo, stolarstwo, kołodziejstwo, mosiężnictwo zatrudniające całe wsie i posiadające wszelkie warunki do najpiękniejszego rozwoju — widzimy wreszcie jeszcze parę innych gatunków wyrobów przemysłu domowego, które przy umiejętnej opiece dałyby się wykształcić do poważnych rozmiarów.

Otóż zapytujemy, czy tego rodzaju wystawa ma przejść jak meteor, bez śladu? Czy na to tylko poświęcono kilkoletni trud i znaczne stosunkowo koszta na jej urządzenie, ażeby zabawić oczy różnobarwnym jej widokiem, i temu lub owemu podać sposobność do mniej lub więcej trafnych uwag teoretycznych na temat interesujących przymiotów włościan Pokuckich i Hucułów, na temat potrzeby opiekowania się tamtejszym przemysłem ludowym i t. p.

Przypuszczać należy, że jeżeli inicjatorowie i opiekunowie wystawy etnograficznej towarzystwa Czarnohorskiego w Kołomyi musieli koniecznie mieć na oku ten cel jako pierwszy, ażeby wydobyć przez tę wystawę na szerszą widownię etnologiczne właściwości tamtejszego ludu i wynikające z tych właściwości jego umysłu, fantazji i zwyczajów bogactwo przemysłu domowego w Kołomyjskiem — to, że byłoby im niezawodnie bardzo miło, gdyby piękny ich przykład stał się zachętą do naśladowania i w innych okolicach naszego kraju, stał się — jak powiedzieliśmy na wstępie, punktem wyjścia do dalszego szeregu przedsięwzięć, mających na celu bliższe poznanie siły twórczej naszego ludu, i jego wyrobów domowych.

Proponujemy mianowicie, ażeby na rok przyszły wystawa etnograficzna Kołomyjska przeniesioną została do Lwowa, ażeby rozszerzoną została na wystawę przemysłu domowego włościan, *obejmującą kraj cały* — ażeby wreszcie z tą wystawą specjalną połączony został fachowy kongres, któryby przeprowadził rozprawy nad pytaniem, jaka metoda postępowania byłaby najwłaściwszą, *ażeby zabezpieczyć i wzmocnić racjonalny rozwój włościańskiego przemysłu domowego w Galicji?*

Materjału do podobnej wystawy nie brak — nie braknie też przedmiotów do obrad nad sposobami rozwoju przemysłu ludowego. Przypomniemy tylko, że już podczas wystawy krajowej w r. 1877 we Lwowie odbytej, proponował czcigodny dr. Adrjan Baraniecki, ażeby zarządy muzeów przemysłowych we Lwowie i w Krakowie urządzały od czasu do czasu porównawcze kollekcje pewnego rodzaju wyrobów np. z drzewa, z metalu, skórzanych itd. i powoływały komisje znawców do roztrząśnienia dróg rozwoju i udoskonalenia tychże wyrobów. O ile wiem, ta piękna myśl dra Baranieckiego dotychczas ziszczoną nie została. Czyż ma ona rozpłynąć się w nicość, jak marne echo?...

Mamy przecież kuratorję dla przemysłu domowego jako instytucję stałą przy Wydziale krajowym urzędującą, mamy dwa muzea techniczno-przemysłowe, których zarządy złożone są z najtęższych znawców przemysłu ludowego w kraju naszym, mamy trzy Izby handlowe, ustawą powołane także do opiekowania się wszelakiego rodzaju przemysłem — więc i przemysłem włościańskim, mamy wreszcie we wszystkich okolicach kraju osoby prywatne i stowarzyszenia, z miłością opiekujące się wyrobami włościan, jak np. w szczególności towarzystwo



Tatrzańskie w Krakowie i jego oddział Czarnohorski w Kołomyi. Jest więc komu zaopiekować się urządzeniem krajowej wystawy i kongresu fachowego dla spraw przemysłu domowego w kraju naszym.

Co się zaś tyczy środków na opędzenie kosztów tego przedsięwzięcia, to nie potrzeba być optymistą ażeby twierdzić, że pod tym względem nie należy obawiać się zbyt wielkich trudności. Rząd nie mógłby odmówić poparcia tej sprawie; Sejm jest tak hojnym w dostarczaniu środków pieniężnych na cele przemysłu domowego, że Wydział krajowy nawet nie może sobie dać rady z ich zużytkowaniem, więc prawdopodobnie nie poskąpi Sejm zasiłku na wystawę; a wreszcie reprezentacje powiatów i miast większych także zechcą zapewne wesprzeć życzliwie przedsięwzięcie, które jeżli zręcznie do skutku doprowadzonem zostanie, może stanowić epokę w rozwoju materjalnym naszego kraju.

Rzucamy przeto wyłuszczoną tu myśl, poruczając ją troskliwej rozwadze osób kompetentnych.

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Bliźni.

Stało się wedle tego, jak pan Maciej rycerskiemu gościowi swemu zapowiedział. Odmaszerowujące szwadrony widziały na polu hrybeckiem pług, trzema parami wołów zaprzężony. Pług szedł zwolna, czarne odwalając skiby; po skibach skakały wrony; w górze dzwonił skowronek; obok wołów postępował wyrostek z długim w ręku batogiem; za pługiem szedł szlachcic w żupanie przeszarzałym z pozakładanemi za pas połami. Z przed szwadronów odłamał się jeździec jeden i do oracza podjechał.

— Niech będzie pochwalony!...

— Na wieki wieków!...

Powitali się. Jeźdźcem był pułkownik, oraczem jegomość.

— Oby waszmości Bóg w pracy pomagał i błogosławił!... — rzekł pierwszy.

— Daj Boże amen!... — odrzekł drugi.

— Jakże tam syn wasz?...

— W gorączce mości pułkowniku...

— A nieznajoma?...

— Lepiej, Bogu dzięki!...

— Co tu będziecie sieli?...

— Żyto, mości pułkowniku...

— Daj-że Boże, żeby zeszło i plon obfity wydało!... Żegnajcie!... Niech Najwyższy ma was w opiece swojej...

Spiął konia ostrogami i odjechał do podnoszących na drodze tuman kurzawy szwadronów. Za odjeżdżającym posłał pan Maciej okrzyk:

— Szczęśliwej drogi! niech was Bóg prowadzi!

Spoglądał za okrytym szczecią spis hufcem i zwolna za pługiem postępował.

Rycerze znikli niebawem. Stary szlachcic westchnął, jakby w żalu za nimi, i orał dalej.

Z prac wszelkich, jakie ludzie podejmują, ta zwłaszcza wzbudza największe, w pojmującym znaczenie pracy, uszanowanie. Jest ona rodzicielką niejako ruchu całego w ludzkości, na tej onego drodze, która ku dobru prowadzi. Produkcja chleba dała początek produkcji wszelkiego rodzaju. Ztamtąd praca wyszła i tam ma swój punkt oparcia stały. Postęp cały, który człowieństwo prowadzi coraz to wyżej i coraz to dalej, wziął się z konstrukcji sochy pierwszej.

Pług jegomości zbliżał się do pierwszej sochy owej, wszakże posiadał nieco żelaza, o postępie świadectwo dającego. Żelaznym był lemiesz — zresztą wszystko z drzewa, od ręki ciosanego. Woły napinały się w jarzmach, czarne bruzdy znaczyły się na roli; chłopak pogonicz hukał:

— Hejs!... cabe!...

Orał jegomość do południa. O południu wyprzągł woły, na paszę je puścił i zasiadł z pogoniczem do posiłku, który w bliźniakach przyniosła Nastka czarnobrewa.

— Cóż tam słychać?... — zapytał dziewczyny.

— Ta że nic, proszę jegomości... Wszyscy w polu, a i ja ztąd wprost na padaliczne pójdę...

- Chorzy?...

— Niczego, Bogu dzięki... Pani tej, zdaje się, już przeszło, tylko słabo bardzo... Pan Juraś leży i gada....

— Pani stara daje sobie z nimi radę?...

— Ano... daje... Potrzeba było pana Jurka przewinąć, tom ja pomogła... Do wieczora już przewijać nie będzie potrzeba...

Z rozmowy powyższej pokazuje się, że pobicie Tatarów i oswobodzenie od nich Pobereża nie tylko ludziom w pracy nie ulżyło, ale przeciwnie ciężaru dodało. Zbiór zboża padalicznego nabrał znaczenia podwójnego. Zbierano je i na zapas zimowy i na nasienie. Ciężar ten atoli ozłacała nadzieja, więc go podejmowano z ochotą. Jegomość orał; obie zaś młodsze jejmości, obaj dziadowie i czeladź cała trudnili się wyszukiwaniem śród burzanów kłosów zboża i zbieraniem takowych do torb. Przy chorych pozostawała stara pani Małuska.

Popołudenkowawszy i wypocząwszy, zaprzągł jegomość woły i znów orał do wieczora. Wieczorem powrócił z pługiem na futor. Rodzina wraz z czeladzią zgromadziła się w czeladnej; wieczerzano spólnie.

W dniu następnym powtórzyło się to samo, dalej znów to samo i wciąż to samo, aż słota pracowników z pola spędziła. Monotonność owa trwała ciągiem jednym dni dziesięć, pozwalając jegomości zorać i i zasiać szmat pola taki, że byle jeno zbioru się doczekać, można było o chleb na rok przyszły spokojnym być.

Słota zmieniła pracy naturę, lecz takowej nie przerwała. Trwała ona ustawicznie; pracowali wszyscy, z wyjątkiem małoletnich i chorych. Z temi ostatniemi rzecz tak się miała: nieznajoma w czasie odwiedzin pułkownika przebyła przełom choroby, następnie osłabła ogromnie i powoli do zdrowia przychodziła; Jurek zaś, przeciwnie, ku przełomowi szedł, gorączka się w nim rozwijała coraz to mocniej, rany rozjątrzone wymagały staranności wielkiej. Zatrważającego jednak nie było nic. Staruszka, która się na chorobach znała, uspokajała matkę; uspokajał ją też jegomość, praktyk w tym względzie, i sam on bowiem w młodości swojej spłacał w sposób ten sam co syn obecnie, dług społeczeństwu, wiedział przeto, że wylizywanie się z ran połączonem jest z przypadłościami chorobliwemi często bardzo przykremi. Staruszka nie dawała wnukowi lekarstw, udzielała mu atoli pomocy lekarskiej bardzo skutecznej, polegającej na świeżem powietrzu i troskliwem pielęgnowaniu.

Co do nieznajomej, gdy ta zdrowie odzyskiwać poczęła, rodzina Małuskich naradę krótką miała. Wychodnim narady punktem było pytanie, co z nią począć. Pytanie to rozstrzygnęło się w ten sposób, że nie pozostaje nic innego, jak tylko trzymać ją tak długo, jak wypadnie, to jest: aż bądź sama odjechać będzie mogła, bądź też ktoś się zgłosi po nią. Rzecz naturalna, we względzie tym coś o niej wiedzieć należało, wiadomość zaś nie mogła przyjść inaczej, tylko od niejże samej. W punkcie tym zdania się podzieliły: pani Janowa była za tem, ażeby jej zapytać o nazwisko i o miejsce pochodzenia; pani Maciejowa zaś myślała, że czekać należy aż sama powie.

— Zapytać?... — mówiła ta ostatnia. Albo ja wiem, czy potrafię zadać jej zapytanie w sposób taki, ażeby w niej niemiłego jakiego nie obudzić przypomnienia?... Mówiła mi parę razy, że jest nieszczęśliwa... Bóg wie, co to za nieszczęścia... Przytem zdrowie jej, jak pajęczyna jeszcze... Lada co przerwać je może... Czekajmyż... i tak bowiem przez zimę pozostać u nas musi...

Panią Maciejowę poparli pan Maciej i stara pani Małuska. Udecydowano dowiedzenie się o nazwisku i pochodzeniu nieznajomej zostawić czasowi i okolicznościom. Rzeczy przeto pozostały w stanie zwykłym, nawet gdy się słota rozpoczęła. Zdrowi trzymali się na stronie czeladnej. Chorzy zajmowali świetlicę i alkierz. Usługa jeno około nich powiększyła się, co moment bowiem przebiegała przez sień, jeżeli nie pani Maciejowa, to pani Janowa, dowiadując się, czy nie potrzebuje czego Juraś albo nieznajoma.

Ta ostatnia dużo myślała i dużo się modliła. Często zastać ją było można o poduszki opartą, z wlepionym w punkt je-

den wzrokiem, szepcącą po cichu. Niekiedy dłonie miała złożone.

W słotną porę przyszła do niej wczesnym rankiem pani Maciejowa i pozdrowiwszy ją, w zwyczajny zapytała sposób czy nie chce pić albo jeść.

— Usiądź-że przy mnie, pani dobra!... — odrzekła chora.

Gdy pani Maciejowa usiadła, tak zaczęła:

— Znajdowałam się dotychczas w dziwnym stanie... Zapomniałam byłam o wszystkiem, nie wiedziałam nawet jak się nazywam... Stan ten jednak przeminął... Rozjaśniło mi się... Nie wiem jeno gdzie jestem, ani jak się tu dostałam...

— Jesteś, serce, na futorze, u szlachcica Macieja Małuskiego... Mąż mój znalazł cię na polu, w burzanach...

— Znajdowałam się w niewoli tatarskiej...

— Myśmy się tego domyślali właśnie... Odbić się musiałaś od czambułu, jak jagniątko od trzody... — wtrąciła pani Maciejowa.

— Od czambułu... tak... Byłam w czambule... przypominam to sobie.

— Jakżeś się od niego odbiła?...

— Nie wiem... Pamiętam jeno, że nas było dużo... gnano nas... Pamiętam jeszcze, że mnie Tatar przywiózł na koniu i rzucił... Pamiętam, żem podchwyconą została na drodze, gdyśmy dojeżdżali do Starokonstantynowa...

— Dojeżdżaliście?... — zapytała jejmość, przyciskając akcent na liczbie mnogiej.

— Tak: ja i on... mąż mój... Mój mąż... — powtórzyła i łzy jej z ócz popłynęły. Prowadzono nas zrazu razem; potem... rozdzielono nas. W czambule odnalazła się jeno moja panna służąca... Co się z nią stało?...

Przerywała sobie mówienie płaczem.

Pani Maciejowa na wyznania czekała. Wyznania czyniła nieznajoma, że tak powiemy, w tył. Prawiła dalej:

— Porwano nas tuż pod samym Konstantynowem... Jechaliśmy z Krasiłowa, a do Krasiłowa z Bazalii, a do Bazalii ze Zbaraża, a do Zbaraża z Tarnopola... Ach!... w Tarnopolu byłam szczęśliwa taka...

Głębokie westchnienie pierś jej podniosło.

— Gdzie mój Prokop?...

— Musieliście się pobrać niedawno?... — wtrąciła jejmość.

— Czy dawno?... Miesiąc temu...

— Jezu Chryste!... — westchnęła pani Maciejowa... Toć nie mieliście nawet czasu nacieszyć się sobą...

Nieznajoma płakała.

— Bóg jednak wielki... Bóg łaskaw i miłosierny... — pocieszała jejmość.

— Alem ja go obraziła, ciężko obraziła...

— Czemże?... — zapytała pani Maciejowa naiwności tonem.

— Czem?... Powinnam była być w klasztorze, nie za mężem...

Jejmość zamilkła. Zgroza ją przejęła. Nie śmiała tego chorej okazywać, ale z oczów jej widać było, że wyznanie to wywarło na nią wrażenie silne. Widząc zaś chorą płaczącą, wysunęła się cichaczem z alkierza, zabawiła krótko przy łożu syna i udała się pospiesznie do czeladnej. Ciężyło jej wygadanie się z tego, co usłyszała.

— Czy wiecie — rzekła — chora nasza, kto ona?...

— Powiedziała nareszcie jak się nazywa?... — odrzekła pani Janowa.

— Nie, tego nie powiedziała, ale się przyznała, że się zklasztoru wykradła...

— Piękna sprawa!... — pani Janowa na to.

— Ktoby się spodziewał!...

— Okropność!...

— Ano, widzicie.

— Ot, co to znajda znaczy!... Co dobrego, to nawet od czambułu by się nie oderwało...

— Cóż teraz?...

— Starać się trzeba pozbyć jaknajprędzej... — odrzekła pani Janowa.

Staruszka, która pod oknem w chwili tej z kądzielą siedziała, podniosła oczy i spojrzała na synowę i wnuczkę. W oczach jej nie świeciła aprobacja. Nie odzywała się jednak. Pani Maciejowa i Janowa rozprawiały, nastrajając się coraz to wyżej na ton oburzenia, aż wszedł pan Maciej. Rzecz wytoczyła się przed niego. Wysłuchał. Wysłuchał następnie wniosków żony i córki, głową lekko wstrząsnął i rzekł:

— Przykazanie Chrystusowe: »Kochaj bliźniego, jak siebie samego«...

— To mniszka, tatu, co z klasztoru uciekła... — odparła pani Janowa.

— Ani w dziesięciorgu, ani w przykazaniu Chrystusa o mniszkach nie powiada się nic... Są one nam bliźni... należy się więc im ze strony naszej miłość taka sama, jak bliźniemu każdemu innemu...

Staruszka głową kiwała z wyraźnej aprobacji oznakami i dodała:

— Zostawmy sąd o niej Bogu i czyńmy powinność naszą...

Matka i córka zamilkły. Pani Janowa szeptała coś pod nosem; pani Maciejowa poznała, że zbłądziła, głowę spuściła nad płótnem, które szyła i po chwili przeszła na drugą stronę, do syna najprzód, do nieznajomej następnie. Zdawało się, jakby na sumieniu miała naprawę błędu, jakiego się względem niej w intencji dopuściła. Zbliżyła się do niej i usiadła obok łóżka.

— Posiedź, pani dobra, przy mnie...— odezwała się chora. Czemuś tak prędko odeszła przed chwilą?...

Jejmość dała odpowiedź wymijającą i zakłopotaną nieco.

— Czuję potrzebę mówienia z kimś... Nie możnaby tu mieć księdza?...

— Księdza nie ma w stronie tej...

— Nie ma!... — rzekła chora tonem zdziwienia. — Któż pociech udziela?...

— Pocieszamy się sami...

— A spowiedź i rozgrzeszenie?...

— Staramy się grzeszyć jak można najmniej... Zresztą do grzeszenia i czasu mamy bardzo mało...

— Jakto?... — zapytała chora tonem zdziwienia lekkiego.

— Pracujemy.

Nieznajoma zamyśliła się, jakby nad znaczeniem tylko co usłyszanego wyrazu rozmyślała. Jakoż w rzeczy samej rozmyślała nad takowem. Wyraz praca w przeciwstawieniu grzeszeniu wydał się jej nowością osobliwą — nowością mniej więcej taką, jaką byłoby wynalezienie antidotum na wściekliznę. Przypomniała sobie wojewodzinę i tryb życia u niej, zajętego niczem. Wyraz »praca« szumem jakimś napełnił jej głowę. Wpadła w zadumę, co widząc pai Maciejowa, podniosła się, jakby w zamiarze odejścia.

— Posiedź jeszcze, pani... — odezwała się chora głosem proszącym.

Jejmość usiadła napowrót.

— Powiedz mi... pracujecie?...

— Od rana do wieczora...

— Otóż widzisz... jam nie pracowała u wojewodziny...

— W klasztorze?... — zapytała pani Maciejowa.

— W jakim klasztorze?...

— Mówiłaś przecie sama... żeś... żeś... — bąkała jejmość.

— Ach! nie zrozumiałaś mnie pani kochana... Nie wiesz o mnie nic?... — zapytała.

— Nic nie wiem, serce!... — odrzekła zapytana.

— Jam do klasztoru iść postanowiła była, bo ojciec i wojewodzina wydać mnie chcieli za... za... kasztelanica jakiegoś, a nie za Prokopa...

— Jakże nazywa się ojciec twój i wojewodzina?... — przerwała jejmość.

— Nie wiesz? — zapytała nieznajoma zdziwiona.

— Nie powiadałaś tego nigdy...

— I nie wiedzieliście komu rękę pomocy podajecie?...

— Przed chwilką właśnie jegomość mój powiedział, ktoś ty...

— Jegomość więc wie...

— Wie tylko, żeś bliźni...

— Wiedz-że, pani droga, że bliźni ten nazywa się Krystyna z Łączyńskich Łobodzina, córka starosty buskiego, która przebywała lat kilka przy boku wojewodziny ruskiej, Marjanny Jabłonowskiej i wbrew woli ojca i pani wojewodziny, wyszła za ubogiego szlachcica, Prokopa Łobodę... Wyszłam za niego, wyjechaliśmy ze Lwowa i gdyśmy do Starokonstantynowa dojeżdżali, zostaliśmy przez Tatarów napadnięci i zabrani...

Długie to mówienie zmogło chorę. Upadła na poduszki, ciężko oddychając. Pani Maciejowa pospieszyła do niej z napojem orzeźwiającym.

Młoda kobieta przełknęła haustów parę, odetchnęła i podziękowała.

— Ale ja cię zatrzymuję, pani dobra... — rzekła po chwili.

— Ja tu wnet powrócę z robotą... — odrzekła jejmość.

— Może ci to jednak mitręgę jaką uczyni...

— Najmniejszej... Siedząc przy tobie, będę zarazem doglądała i syna...

— Syna?... — powtórzyła pani Łobodzina z akcentem zapytania.

*

— Rannego w bitwie... leży tu obok, w świetlicy...

Z tem słowem pani Maciejowa odeszła; młoda kobieta pozostała pod wrażeniem wiadomości, której sobie wytłómaczyć nie umiała.

Wyjście pani Maciejowej miało na celu podzielenie się z mężem, matką i córką informacjami, jakich jej co do osoby swojej udzieliła pani Krystyna.

— Otóż — zawołała, do córki mowę zwracając — pani ta to nie mniszka żadna!... Jam jej nie zrozumiała... Ona się dopiero do klasztoru wybierała... Ona...

Tu powtórzyła dosłownie, co od pani Łobodziny słyszała.

— Łączyńska!... starościanka buska!... a!... — odezwał się jegomość przeciągle. — Hm?... Zasłużonego człowieka dziecko...

Od chwili tej nie zmieniło się nic we względzie obchodzenia się rodziny Małuskich z chorą, ale powstrzymała się zmiana, która w zarodku była. Troskliwość nieznajomej okazywana, którą zachwiało było błędne pierwotnych jej wyznań tłumaczenie, trwała dalej. Doglądano chorą i chodzono około niej po dawnemu. Stara pani Małuska i pani Maciejowa przemawiały do niej »ty«. Pani Janowa poczęła ją »panią« tytułować i ona jedna zwracała się do niej z uszanowaniem, którego przedtem nie okazywała. Pan Maciej odwiedzając syna, zaglądał do niej przeze drzwi.

Pan Maciej nie odwiedzał syna często; nie miał czasu. Dni kilka słoty przesiedział wprawdzie w domu, lecz nie z założonemi rękami. Strugał i ciosał pod szopą, a strugając i ciesząc, często po niebie okiem wodził, wyglądając, ażali nie wypogodzi się od zachodu. Miarkował, że jeszcze dni kilka orać będzie można. Długo wyglądanie jego daremnem było. Nareszcie dnia pewnego koguty z południa piać poczęły i na zachodnim widnokręgu z po za chmur szarych pokazał się lazur niebieski.

— Bogu niech będzie chwała!... — westchnął.

Z wieczora deszcz ustał, nazajutrz słońce zaświeciło.

Z powodu jednak namoknięcia gruntu, o oraniu jeszcze myśleć nie było można. Należało poczekać dni parę, aż ziemia przeschnie.

Nie było można orać; można jednak było robić co innego.

Jegomość wziął laskę w rękę i przez górkę do pasieki się udał.

Z pasiecznikiem nie widział się od dnia bitwy — nie był pewnym, czy go zastanie. Zastał jednak. Starzec pomiędzy ulami chodził; zoczywszy jegomości, zatrzymał się i pierwszy odezwał:

— Przyszło wam, jegomość, na dumkę to co i mnie...

— Temnik?...

— Ehe... Mucha w ulach huczy, ale nadaremnie... Wyleciała dziś, jak tylko słonko przygrzało i powróciła z niczem...

— Trzeba więc temnik przysposobić...

— Już ja pomyślał o tem... Wygarnąłem ziemi nieco ze starego i zrobiło się miejsca dosyć...

— Nie będzie ciasno?... — zapytał jegomość.

— I nie... mierzyłem... A zresztą chodźcie, sami zobaczcie...

Udali się obaj do rodzaju piwnicy, wkopanej w górę, służącej do przechowywania pasieki przez zimę. Pan Maciej obejrzał, uczynił uwag parę i zapytał dziada o dzień stosowny do chowania ulów.

— Hm... Trzebaby to tak zrobić, żeby nie było ani zanadto wcześnie, ani zbyt późno... Póki jeszcze mucha nie marznie, to jej, jak człowiekowi, milej i dogodniej na swobodzie, aniżeli w zamknięciu... Zatrzymać ją jednak, aż przymrozki schwycą, wyginie...

— Broń Boże mrozu silnego, znienacka, jak to zdarza się czasem... — zauważył pan Maciej.

— I mnie to w głowie siedzi... Człowiek porozumieć się nie może ani z Bogiem, ani z czartem...

Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem.

Przycisk ten zaznaczamy — przyda się on nam w dalszym opowiadania ciągu.

Jegomość, z racji może przycisku tego, spojrzał pasiecznikowi w oczy z ukosa i odpowiedział:

— Lepiej-że na pogodę się nie spuszczać... Jednakowo, dla namokłej ziemi orać nie mogę, mam czas teraz, więc nie ma co... składajmy pszczoły do temnika.

— Wola wasza... — odrzekł pasiecznik.

Pozostawało jeszcze, stosownie do uwag pana Macieja, poczynić modyfikacyj parę we względzie wewnętrznego zimowego schronu pszczół urządzenia. Jegomość poły zakasał i sam ręki przyłożył. Zabrało to czasu godzin ze trzy. Południowa pora się zbliżała. Pan Maciej usiadł na znajdującej się nieopodal zwalonej kłodzie i wezwawszy pasiecznika, ażeby toż samo uczynił, w taki do niego przemówił sposób:

— Słuchajno. Sawo... czy nie pora by już tobie złożyć nienawiść z serca?...

— Nie gadajcie mi tego, jegomość... odparł tenże, zachmurzając się.

— Owszem... Wygadałem u ciebie wiele, wygadam więc może jeszcze i to...

— Daremna praca wasza...

— Zobaczymy... Odpowiedz mi na pytanie jedno.

— No?... — zapytał starzec.

— Do czego cię nienawiść doprowadziła?...

— Sztuka wielka!... Wszystko mi w rękach pękało...

— Przypuśćmy jednak, iżbyś był zamiarów swoich dopiął... to co?... Czy myślisz, żebyś był zadowolenie zdobył?...

— Hm!... — uśmiechnął się starzec gorzko. — Zadowolenie?... Co ja mam gadać z wami!...

— Gadaj... przeciwnie... Może ja nie taki głupi, ażebym ciebie rozumieć nie miał...

— No... nie... Ja nie myślę tego... Tylko... wy co innego, ja co innego...

— I ty człowiek i ja człowiek...

— Tak... zapewne... Ale wy nie wiecie, co mnie szarpnęło...

— Jedno z dwóch: żądza bogactw, żądza sławy.

— Otóż nie... ani jedno, ani drugie... ale żądza... zemsty!...

Mówiąc to, wyciągnął żylaste ręce i pokazał dłonie, przy których palce zagiął na kształt szponów drapieżnego ptaka.

— Nie rozumiecie, jegomość — ciągnął dalej — co to zemsta.. Dogodzeniu jej żadna na świecie równać się nie może rozkosz...

— Czyż jej nie dogodziłeś!... i cóżeś wskórał?

— Anim dogodził, ani już dogodzę... Wskórałem zaś tyle, żem się przekonał, że nie masz na świecie prawdy...

Pan Maciej ramionami ruszył i odrzekł:

— Zdaje mi się, jakbyśmy się bawili w ślepą babkę... Albo ja nie rozumiem ciebie, albo ty nie rozumiesz mnie...

Starzec ręką machnął.

— Nierozumienie, jegomość, po waszej stronie, a to z tej przyczyny, żem nigdy wam jeszcze nie powiedział, iż przez całe życie moje jednego tylko ścigałem człowieka... i człowieka tego miałem w ręku trzy razy... i za każdym razem on mi się z rąk wydarł... On, powiadano, biesowi duszę zapisał... Otóż i jam biesa szukał, ażeby mu zapisać duszę moją, i przekonałem się, że biesa nie ma!... Przypuszczałem, że mnie nie chce... Ale to nie sposób: gdyby istniał, musiałby mnie zechcieć... robiłem i zrobiłem wszystko co potrzeba... A przecież on, że mi się z rąk wydarł trzy razy, tego dokonać nie mógł inaczej, jak chyba tylko za sprawą biesa... Ot co...

Pan Maciej słuchał, nic jednak nie zrozumiał.

— Czy słyszeliście co o Józefie Łączyńskim?... — zapytał pasiecznik nagle.

— Jakże... Słyszałem... Obecnie właśnie córka jego znajduje się u mnie na futorze...

— Córka jego!... — krzyknął starzec, w pana Macieja się wpatrując. — Jego?...

Brwi zmarszczył. Opanował go rodzaj osłupienia, śród którego złowrogie jakieś połyski przelatywały mu w oczach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JAKÓB ABRAHAM GARFIELD

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

Garfield?

Kandydat do panowania nad 46-miljonowym narodem, mianowany przez stronnictwo, które się rzekomo z inteligencji i bogactwa najpotężniejszej rzeczypospolitej na świecie składa? Kto on taki? Co zrobił? Z czego wyrósł?

Takie pytania zadaje sobie niezawodnie nie jeden czytelnik europejskich gazet, od kiedy mało znany poseł stanu Ohio do kongresu amerykańskiego stanął na czele stronnictwa re-

publikanów i o prezydenturę Stanów Zjednoczonych się ubiega. Ten wypadek nadał mu stanowisko rozciekawiające i poważne. Historja jego życia należy odtąd do dziejów powszechnych i świat interesuje. Telegraf podał ją zapewnie europejczykom, ale czy ją podał w takim stanie, na jaki jej ekscentryczny, czysto amerykański charakter zasługuje? Wątpię i dla tego pozwalam sobie przedstawić polskim domatorom i typ i dzieje, które tylko w Ameryce się trafiają, wyrastając z jej dziewiczych preryj tak naturalnie, jak bławatki po naszych łanach sobie bujają. Coraz większe znaczenie Stanów Zjednoczonych w rodzinie narodów ucywilizowanych i coraz żywsze zajęcie się europejczyków ich życiem, co się w nieznane wam i olbrzymie kształty rozwija, usprawiedliwia moją do gawędy intencję.

Pamiętajmy, że ta najbogatsza i najpotężniejsza społeczność nowego świata za naszej pamięci cały szereg Piastów wydała, powierzając naczelną władzę raz drwalowi — Lincolnowi, który się unieśmiertelnił cnotą i genjuszem, drugi raz krawcowi — Johnsonowi, co się czytać i pisać od własnej żony nauczył, ale nie był przeto bez zasługi i talentu, później garbarzowi — Grantowi, który się jednym z najlepszych jenerałów swego wieku okazał i w podróży naokoło świata nakształt panującego monarchy był traktowanym, a teraz chce ją oddać chłopskiemu dziecku, którego mozolne życie i zadziwiająca karjera pełne są rysów charakterystycznie amerykańskich. W czterech wymienionych mężach widzimy zwycięzców wszelkiego rodzaju trudności, jakie mogą dzieciom ubóstwa drogę do wielkości zagradzać. Ich biografie mają i swą romantyczną stronę i smak plutarchowych opowiadań i sens moralny, wskazujący możebny tryumf jednostek nad okolicznościami. Są oni doskonałymi typami charakterów, rozwijających się w Stanach Zjednoczonych liczniej, niż w każdym innym, tradycjami silniej krępowanym kraju. Ich szczęście wolnoby nazwać hołdem, złożonym przez wielki naród idei pracy, samopomocy, samouctwa, ambicji co się z przeszkodami nie liczy i śmiało w bój życia kroczy, bez innej broni, prócz ramion zdrowych i otwartej głowy. Życie p. Garfielda, jednego z tych nieszczęśliwych ludzi, będąc pełniejszem niespodzianek od biografij jego poprzedników, zasługuje na szczególną uwagę.

Same jego gniazdo rodzinne należy do osobliwości Ameryki. Jest to jak Arkadja. Leży ona nad jeziorem Erie, w północnej części stanu Ohio. Mieszkają w niej tylko jedynie chłopi czyli fermerzy, a nieliczne miasteczka po niej rozrzucone nie znają innego handlu i przemysłu, oprócz zaspokojania skromnych potrzeb rolników. Tylko stolica okolicy, miasto Cleveland, tworzy wyjątek z tej reguły, fabryki, oraz port ważny nad jeziorem Erie posiadając. Słynie ono jako najschludniejsze miasto drugorzędne w Stanach Zjednoczonych; a kraj naokoło niego ma być idealnym obrazem sielskiego szczęścia, dobrobytu i oświaty. Przejechawszy tamtędy w podróży z Chicago do New-Yorku, pamiętam go jako krainę mleka, miodu i wina, bardzo malowniczą, ku przeczystemu jezioru pochyloną i umajoną winnicami. Słyszałem o nim, iż mniej tam żyje nieuków, próżniaków, nędzarzy i ludzi niepraktycznych, niż w jakiejkolwiek przestrzenią równej części rzeczpospolitej, a ten stan błogi ma być owocem wybornych szkół ludowych, tudzież charakteru mieszkańców, wiodących swój początek od kolonistów, z nowo angielskiego, górzystego Connecticut, w przeszłem stuleciu przybyłych, trzeba was bowiem uprzedzić, że opisana stolica „zachodnią rezerwą“ się nazywa i niegdyś do dalekiego Connecticut należała, tworząc obiecaną puszczę, do której licznem potomstwem błogosławieni yankesy młodszych synów na pionierów posyłali. Później sprzedał Connectitut tę ziemię bliższemu do niej Ohio, ale jej ludność została czysto anglo-saską, wolną od niemieckich, oraz irlandzkich żywiołów i złożoną z chłopów-arystokratów.

Z takiego gniazda pochodzi Amerykanin, którego imię cały świat ma teraz w ustach. Urodzony w roku 1831 był najmłodszym z czworga dzieci, z których on sam jeden się odznaczył, brat jego bowiem jest sobie takim chłopem, jakim był jego ojciec, a jego dwie siostry są żonami farmerów. Bieda panująca chronicznie w pionierskiej chacie Garfieldów, zmieniła się w nędzę, gdy ojciec rodziny w dwa lata po urodzeniu swego młodszego syna umarł, nie zostawiwszy nic po sobie, oprócz jałowego gruntu, wdowy i sierot. Wdowa była jednak kobietą z głową i charakterem energicznym. Jej jedyną rozrywką po ciężkiej pracy w polu bywały takie książki, jakie do chat kmiecych się dostawały. Jej dziwaczna bibljoteczka tworzyła przez lat kilkanaście jedyną szkołę jej synów.

Jest to prawdą licznemi przykładami stwierdzoną, że znakomici ludzie swój hart, swą pilność i ambicję najczęściej od matek dziedziczą, a Jakób Garfield twerzy nowy dowód tej prawdy. Inteligentna i ambitna nad swój stan matka pchnęła go na mozolną drogę do wielkości i przez całe swe, długie życie na niej go utrzymywała i teraz jeszcze — bo staruszka żyje wciąż przy synu — mają rady tej chłopki sędziwej większy wpływ na znakomitego potomka wywierać, niż zachęty i ostrzeżenia mężów stanu.

Dola ubogiego, fermerskiego chłopca w Ameryce nie jest nigdy zazdrości godną, bo nigdzie tak pilnie nie pracują i młodzieży do pracy tak zawzięcie nie pędzą, jak między chciwymi zarobku fermerami. Pacholę wdowy musiało ciężej od innych dzieci znoić się, pocąc się w polu całe lato od świtu do nocy, a całą zimę pomagając cieślom. W zwyczajach podobny do innych chłopskich dzieci, celował po nad innych łobuzów dwoma przymiotami — pilnością w pracy i żądzą otrzymania wyższego ukształcenia, niedostępnego jak się zdawało dla chłopca jego stanu. Tę żądzę musiał książeczkami popularnemi zadawalać. Były to po większej części sensacyjne powieści o czerwonoskórnych, o morzu i o korsarzach. Z ostatnich nabrało chłopię ochoty do morskiego życia i rwało się wciąż do wielkiego jeziora, po którem okręty pływały i zkąd miała prowadzić wodna droga do otwartego oceanu bez granic, jak mu sąsiedzi opowiadali...

Że Jakóbek nie był zwyczajnem dzieckiem, dowodzi ta okoliczność, iż czytał płynnie w czwartym roku życia, od matki się tej sztuki nauczywszy, a każdą książkę przeczytaną prawie dosłownie pamiętał, Bóg też wie chyba, jakim sposobem z najcelniejszemi płodami angielskiej literatury wcześnie się zapoznał. Czytając i o morzu marząc, raz miotany chęcią zostania żeglarzem, drugi raz ochotą uczęszczania do szkół, bywał on celem pośmiewiska dla chłopskich dorostków. Obdarzony niepospolitą siłą fizyczną i nie mając w sobie ani jednej leniwej żyłki, aspirant do nauki nie zaniedbywał także praktycznych obowiązków swego skromnego stanu, a licząc lat szesnaście, mógł już spełniać wszystkie roboty, dorosłym parobkom powierzane. Nawet kosił jak stary chłop i umiał strzydz barany! W zimie rąbał sągi, za pieniądze, a to zajęcie zaprowadziło go do miasteczka Newburgh, gdzie i jezioro swych snów zobaczył i okręty, pływające po wodzie kędy sobie chciały, z wiatrem i pod wiatr, siłą czarodziejską. Na chwilę przemógł ten widok pamięć o matce i skłonność do książkowej nauki. Dorostek pobiegł do pierwszego, u dygi spoczywającego okrętu, żeby się w służbę morską zaciągnąć, ale szyper nie potrzebował w tej chwili niedoświadczonego majtka. Ta okoliczność wstrzymała przyszłego prezydenta od przyjęcia służby, któraby się była w żołądku rekina skończyła...

Yankes nie daje się zrazić pierwszemi trudnościami, więc też i Garfield swego zamiaru odrazu się nie wyrzekł. Pragnął pójść na jezioro, żeby do morza popłynąć, a tu pokazało doświadczenie, że droga do jeziora nie była łatwą. Jak się dostać na jezioro? Co prowadzi do jego toni? Kanał, po którym galary krążą. Chłopię ruszło sobie wzdłuż kanału, szukając miejsca na jednym z galarów, co sunął leniwie do jeziora, które rzekomo do morza płynęło. Powodowany tą arcylogiczną myślą, nie przebierał sobie w zajęciach i przyjął służbę fornala, chętnie tęgiemu, z końmi oswojonemu chłopcu ofiarowaną. Poganiał konie i muły, holujące galary kanałowe. Nie był to zawód przyjemny lub bezpieczny, przeciwnie, był on połączony z mnogiemi utrapieniami.

I tak, w ciągu kilku miesięcy zostawał przyszły senator kilkakrotnie przez majstra obity i wpadł 13 razy do wody, w której omal się nie utopił, przy każdym takim wypadku i febry od przeziębienia się nabawił i taką dozą kalomelu przez wiejskiego znachora poczęstowany został, że nie wiele brakowało, aby młodego życia nie pożegnał. W nadmiar nieszczęścia, nie mógł po tych wszystkich cierpieniach na to jezioro się wkręcić, którego blado błękitne fale, tworząc ocean w miniaturze, długo go pragnieniem tantalowem napełniały i napróżno, bo żaden kapitan go nie potrzebował.

Jedną wszakże rzecz użyteczną dała mu ta służba fornalska — bite, brzęczące talary — pieniądze, których tak mało w zagrodzie swej matki widywał, a które miały być kluczem do wszystkiego dobrego. Dostał kilkanaście takich białych, twardych srebrników — formalną fortunę! Powrócił z niemi do domu, o niczem już nie myśląc, jak żeby do gimnazjum w najbliższem mieście Geauga chodzić. Wszystkie perswazje i zaklęcia matczyne, że jego środki na takie zbytki nie długo wystarazą, nie mogły go od tego zamiaru odwrócić. Jego plan był już ułożony. Postanowił uczęszczać do szkoły na wiosnę i w jesieni, w lecie być fornalem przy galarach, a w zimie w szkółce ludowej nauczać. Zarobek z fornalki i z nauczycielstwa zimowego miał opędzać wydatki w innych porach roku robione. Matka musiała w końcu uledz upartemu, siedmnastoletniemu chłopcu i dobywszy z woreczka całe swoje bogactwo — kilka dolarów — dała je Jakóbkowi wraz z swem błogosławieństwem.

Kapitał Jakóbka składał się w owej chwili z 17. dolarów i był całym jego pierwotnym ma-

jątkiem, bo nigdy później złamanego szeląga od matuli nie przyjął. Z tym funduszem ruszył sobie po apostolsku do miasta, gdzie się gimnazjum znajdowało. Pamiętajmy, że to wszystko działo się w naszych czasach, nie zaś w wieku Sykstusa V i że chłopię, co trzodę pasało i fornalem bywało, jest teraz senatorem, których tylko 76 w Stanach Zjednoczonych liczą, oraz kandydatem na prezydenta, a tych jest tylko dwóch!

Jakóbek spełnił swój projekt dosłownie. Zająwszy na kształt pustelnika zdezelowaną, opuszczoną chatę, gotował sobie jeść własnemi rękami i chodził wieczorami drzewo rąbać sąsiadom, ale do szkoły uczęszczał najregularniej. Do kanału nigdy już nie powrócił, znajdując w miastach gdzie mieszkał czasem ręczną robotę, a czasem korepetytorstwo. W ten sposób przebiedował lata, w akademji *Hiram College* spędzone.

Cała jego garderoba składała się wtenczas z perkalowej surduciny i takichże inekspryma-blów, pod któremi nie było bielizny. Na kilka dni przed otrzymaniem dyplomu na magistra był w tak opłakanej nędzy, że skóra z pod łachmanów świeciła. Pewna matrona w sąsiedztwie zwróciła jego uwagę na tę nieprzyzwoitość i przypomniała mu, że go w takim stanie do egzaminu sie dopuszczą. Młodzieniec wyznał jej z płaczem, że nie miał za co swoich sukni naprawić kazać.

— Ej, to nic nie szkodzi! — odparła dobroduszna kobiecina. — Idź do łóżka i przyszlij mi twoje suknie przez jednego z moich chłopców. Zobaczysz jak je pięknie pocerują, a zapłacisz mi wtedy, kiedy prezydentem zostaniesz!

Garfield posłał suknie do naprawy i egzamin złożył i, jak utrzymują, nigdy wyroczni owej kobiety nie zapomniał. Wśród nauki i głodu, niebezpieczeństw wojennych i zapasów politycznych, nietylko pamiętał, iż droga do najwyższej władzy jest każdemu rodowitemu amerykaninowi otwartą, ale proroctwo sąsiadki litościwej, które mu tę władzę przyrzekło było, wciąż mu w uszach dzwoniło. Zostać prezydentem, stało się jego *idée fixe!*

Nakształt wielu swych rodaków był i on do spekulacyj teologicznych skłonnym, a nim skończył akademję, przyłączył się do pewnej sekty nielicznej i ekscentrycznej, znanej z bogobojnego życia swych owieczek, tudzież z ich dobroczynnego usposobienia. Wolnoby ją nazwać amerykańskiemi bezpopowcami, gdyż nie posiada ni księży święconych, ni sformułowanego wyznania wiary, ni kościołów. Nabożni schodzą się w domach prywatnych, po bratersku i słuchają napomnień tego brata, co najlepszą wymową i znajomością pisma świętego celuje. Garfield, orator urodzony, był ich ulubionym kaznodzieją i wędrował od chaty do chaty, prawiąc kazania, za które mu obiadami płacili. Jego obowiązki klerykalne nie trwały długo, ale ich wspomnienie przylgnęło na zawsze do nazwiska Garfielda i gdy były kaznodzieja do wojska się zaciągnął, kamraci zaraz go księdzem jenerałem nazwali. Później w kongresie, zaczęli go wielebnym posłem przezywać, a jeśliby był prezydentem wybrany, to karykaturzyści znaleźliby niezawodnie obfite żniwo konceptów w jego duchownej przeszłości.

Obok kaznodziejstwa był młody magister także profesorem łaciny i greki w tej samej lichej akademji *Hiram College*, której swoją erudycję zawdzięczał i celował nad innych profesorów znajomością swego przedmiotu. Jego gruntowne wykształcenie w klasycyzmie i gust do tej suchej wiedzy zadziwiały kolegów, nie mogących pojąć przyczyny takiego zamiłowania, tkwiącego w chłopskim synu, co przed siedmnastym rokiem o istnieniu Rzymu i Hellady słówka nie był słyszał. Ten gust nie opuścił go nigdy i jest rzeczą wiadomą, że ile razy się Garfield rozprawami w kongresie znużonym czuje, tyle też razy do bibljoteki kongresu ucieka i wszystkie w niej zawarte edycje Horacego przynosić sobie każe, pisząc o nich porównawczo krytyczne rozprawy. Ma on zwyczaj utrzymywać, że nic ducha lepiej z jednego sposobu nużącej pracy nie krzepi, jak namiętne rzucenie się do innej, niemniej trudnej roboty umysłowej.

Będąc kaznodzieją, profesorem i prawnikiem, który przed gminnymi sędziami w sprawach wiejskich klientów czasem stawał — co wszystko razem przyzwoitego dochodu nie dawało — p. Garfield ożenił się z chłopką, córką fermera. Był to mariaż amerykański, jedynie miłością powodowany, a młoda para zaczęła wspólnie swe pożycie w dworku przy *Hiram College* i... w długach po uszy! Miłość musiała łatać strzechę i krasić chude obiady, póki Garfield rektorem akademji nie został, co byt jego poprawiło. Garfieldowie żyli bardzo szczęśliwie z sobą pomimo ubóstwa, a bogactwo nie wypędziło szczęścia z ich domu.

Przy tej sposobności warto dodać fakt, rzucający interesujące światło na wychowanie amerykańskich fermerek. Ta sama pani Garfield, której ojciec nabiał i siano do *Hiram College* na sprzedaż przywoził, umiała później prezydować z rzadką godnością nad salonem posła, w stolicy związkowej mieszkającego i przyjmować hrabine i lordowe ambasadorowe z takim taktem, iż żadna z tych dam wysoko urodzonych zgoła się chłopskiego pochodzenia swej gospodyni nie domyślała. Jeśli p. Garfield do „Białego domu“ wejdzie, jego małżonka zostanie tem, co Amerykanie „pierwszą lady swego kraju“ nazywają i zapewne z tego nowego, zaszczytnego obowiązku z powagą urodzonej księżniczki wywiązywać się będzie.

Kiedy Garfield bakałarzował, kraj jego wstrząsnął się do swych posad wielkim przewrotem politycznym. Powstało w nim nowe stronnictwo, wielkie, potężne, moralne, z hasłem zniesienia niewoli na swych sztandarach chlubnych wyraźnie napisanem. Krew pogardzonych i prześladowanych abolicjonistów, czyli stronników usamowolnienia murzynów, wylana w Kansasie, wydała żniwo entuzjastów, których zapał wszystkie północne stany ogarniać zaczął. Byłto pożar agitacji wzniosłej i nowej nauki politycznej. Pani Stowe napisała swój romans nieśmiertelny, jen. Fremont został pierwszym kandydatem nowej partji i chociaż jego wybór na prezydenta nie przeszedł, stronnictwo jego otrzymało oficjalne uznanie, stawszy się pod nazwą republikanów panującym żywiołem na północy.

Garfield, nakształt wszystkich szlachetnych i myślących ludzi, wstąpił do tego stronnictwa wnet po jego założeniu i odznaczył się wymowną obroną jego zasad. Wzrost stronnictwa podniósł i wsławił jego założycieli, więc też i rektor z *Hiram College* otrzymał mandat do sejmu krajowego i zyskał wzięcie w stanie Ohio. Gdy w końcu republikanie w całym kraju przemogli i swego kandydata, Lincolna, prezydentem okrzyknęli i gdy skutkiem tego południowe stany rokosz podniosły, był on już tak znakomitym obywatelem zachodniej rezerwy, że go wraz z innymi do organizowania batalionów powołano, z patrjotycznym pośpiechem we wszystkich północnych powiatach werbowanych.

Nie było braku ochotników do tego wojska, ale dawał się czuć dotkliwy brak oficerów. Zkąd wziąć ludzi w kunszcie wojennym ćwiczonych w stałej armji pozbawionym kraju? W ciężkiej owej potrzebie chwycili się Amerykanie heroicznego środka, wybierając niższych i wyższych oficerów z pomiędzy inteligencji, tudzież dając każdemu wybranemu kilka tomów dzieł wojskowych, żeby się z nich jak najprędzej na dragiego Napoleona wykształcił. Adwokaci prowadzili brygady, dentyści bataljony, a rektor z *Hiram College* został od razu pułkowikiem.

Posłali go z gromadą rekrutów „regimentem“ nazwaną do Kentucky, gdzie się wówczas istnienie i całość lub upadek i rozerwanie rzeczypospolitej na polu wojennem ważyło. Cóż on mógł wiedzieć o marszach, o manewrach, służbie obozowej, regulaminach, taktyce? Nic zgoła; ale był do nauki skory i posiadał ów amerykański, wielostronny umysł, co się do każdej nowości łatwo wciąga, a co lepsza, miał w sobie wrodzony instynkt żołnierski, żeby zawsze tam swoich ludzi prowadzić, zkąd huk armat z wiatrem przylatuje. Dzięki tej taktyce zdrowej, wielebny pułkownik zaczął się odznaczać, skoro w Kentucky stanął.

Raz wykonał marsz tak spieszny i zuchwały, że pułk weteranów mógłby się był nim chlubić i wpadł niespodzianie na liczniejszy zasęp konfederatów i zniósł go pod Piketon. Drugi raz zdążył na sam czas na pole bitwy, by świeżemi bataljonami los dnia wątpliwego rozstrzygnąć. Mianowany jeneral-majorem, zyskał sławę jednego z najlepszych brygadjerów w wielkiej armji Kumberlandu i jej szefem sztabu został, a w tym charakterze oddał ważne usługi w walnej bitwie ówczesnej kampanji. Uśmiechała się dlań świetna karjera wojskowa, ale ta nadzieja została zniweczoną, bo po dwuletniej służbie w polu musiał się udać do stolicy i zająć krzesło poselskie w kongresie, na które go obywatele zachodniej rezerwy bez jego wiedzy lub prośby wybrali.

Złożywszy szpadę na zawsze, Garfield rzucił się z zwykłym sobie zapałem w zawód prawodawczy i odtąd nigdy już z izby nie ustąpił, będąc raz po raz mandatem do niej zaszczycany. Stał się Garfield jednym z „prowodyrów“ republikańskiej większości, tudzież prezesów wydziałowych, załatwiających najważniejsze zadania izby, gdyż to zgromadzenie nie lubi się wdawać w szczegóły prawodawcze, robotę tę specjalnym komitetom, czyli wydziałom powierzając. Każda ważniejsza gałęź prawodawstwa i administracji stoi pod kontrolą jednego z takich wydziałów, których prezesowie despotyczną prawie władzę nad swą cząstką spraw narodowych posiadają, bo prawie nigdy się nie trafi, aby kongres na walnem posiedzeniu tego nie przyjął, co w wydziałach było uchwalone. Dlatego też mianują takimi prezesami ludzi biegłych w sprawach sobie powierzonych. I tak, prezesem wydziału wojennego bywa znany jenerał, zagranicznego wprawny dyplomata, finansowego biegły ekonomista i t. d. Wpływ tych prezesów równa się prawie znaczeniu ministrów w odpowiednich de kasterjach. Mogą oni wiele

dobrego a jeszcze więcej złego robić i są nauczycielami kongresu. P. Garfield był przez wiele lat prezesem wydziału finansowego, najważniejszego ze wszystkich istniejących komitetów, a przyznanie tak świetnego i ważnego stanowiska było dowodem zaufania, jakie kongres w jego wiedzy i doświadczeniu ekonomicznem pokładał. Piastował on ten urząd tak długo, jak republikanie większość w izbie posiadali.

Jak w parlamencie angielskim, tak też i w kongresie Stanów Zjednoczonych ma każde stronnictwo swego naczelnika, czyli *leader'a*, którego wymowa i doświadczenie w taktyce parlamentarnej akcję całego stronnictwa na złe, lub na dobre kierują. *Leaderem* republikanów był długo sławny p. Blaine, a po jego przeniesieniu do senatu został nim najwymowniejszy i najbogatszy w doświadczeniu poseł po tejże stronie siedzący, Jakób Garfield, którego sława już się odtąd w granicach stanu Ohio nie zamykała, ale się po całej rzeczypospolitej rozlegała. Jego wystąpienie na trybunie bywało biczem dla demokratów, a jego umiarkowane zasady hamowały radykalne skrzydło republikańskie. W tej pozycji odznaczył się duchem pojednawczym, rzekomo sędziowskim, zapatrując się na każdą kwestję ze stanowiska bezstronnego raczej, niż skrajnego. Stawał często po stronie stanów południowych, ile razy republikanie fanatyczni nowe zamachy na ich autonomję knowali. Był orędownikiem idei amnestji, pojednania i zapomnienia bratobójczej wojny w wspólnej pracy dla dobra i wielkości wspólnej, wielkiej ojczyzny, tudzież prawą ręką prezydenta Hayesa. Ta część jego roli politycznej przyniosła niespożytą chlubę jego imieniu.

Przedstawiwszy wszystkie wybitniejsze rysy karjery tak pięknej, zadziwiającej i czysto amerykańskiej, pokazawszy dobrego syna, kmiotka, drwala, fornala, bakałarza, kaznodzieję, mowcę ludowego, adwokata wiejskiego, wodza i prawodawcę, wyczerpałem jasne strony mego obrazu. Teraz muszę jego cienie pokazać, bo niestety ma on swoje cienie. I te cienie są czysto amerykańskie!

Jedną z głównych wad Yankesów jest do ostateczności posunięta żądza prędkiego przyjścia do wielkiej fortuny, a przeciwnicy polityczni powiadają, iż p. Garfield nie jest wolnym od tej namiętności. Długo nieposzlakowany charakter zachowawczy, miał on w końcu uledz silnej pokusie. Rzecz działa się pod haniebną prezydenturą Granta, kiedy większa część mężów publicznych na kształt włoskich bandytów swój naród rabowała, gdy ministrowie i sekretarze prezydenta przyjmowali podarunki z bezczelną śmiałością, senatorowie swe kreski »*gründerom*« przeróżnym sprzedawali, prezesowie wydziałów swego wpływu w izbie niższej na to głównie używali, aby miljony z ludu pracującego wyciśnięte monopolistom i towarzystwom uprzywilejowanym oddawać, za co piękne honorarja i dywidendy do prawodawców kieszeni wpadały. Była to orgja zepsucia, poczęta w najwyższych kołach rządowych, przenikająca całą biurokrację, wkradająca się w cały naród, na kształt strasznej zarazy, według przysłowia, że od głowy ryba cuchnie. Wynaleziono legalne sposoby kradzieży publicznego grosza i taka kradzież nie hańbiła nikogo, a cały wstyd dopiero wtedy się zaczynał, kiedy złodziej tak niezręcznie swoje operacje kierował, że na gorącym uczynku schwytanym został. Nawet w takim wypadku zwykł był kongres rzekome śledztwa urządzać, które były istną, na uniewinnienie zbrodniarza obliczoną komedją. Reakcja ludowa w roku 1874 i czyste rządy p. Hayesa starły głowę tej hydrze zepsucia, ale jej pamięć pozostanie wieczną plamą dla Amerykanów z epoki Granta.

Otóż prasa demokratyczna utrzymywała i utrzymuje, że między innymi republikanami p. Garfield także się do subwencjonowania szkodliwych monopolów przyczynił i że nadużywszy stanowiska wydziału finansowego, pozbawił skarb publiczny kilku miljonów, z których mu piękna konsyderacja przybyła. Garfield protestował przeciwko oskarżeniu i podał się dobrowolnie pod honorowy sąd kolegów w kongresie, którzy go niewinnym uznali, lecz podejrzliwe, wścibskie i plotkarskie gazety opozycyjne nietylko tego uniewinnienia na serjo nie przyjęły, ale póty swe podejrzenia i zarzuty powtarzały, póki niemi czytelników nie znudziły. Reputacja p. Garfielda ucierpiała z tego powodu tak w całym kraju, jak też w własnym okręgu wyborczym. Z upływem czasu i z tokiem ważniejszych wypadków zaczęli jednak ludzie o tej sprawie zapominać. Nadwątlona opinja znów się skutkiem zasług p. Garfielda poprawiła i kto wie, czy rzecz nie byłaby w zupełną niepamięć poszła, gdyby nie był on nominacji na prezydenta przyjął. Nominacja ta spadła nań bez starań z jego strony, niespodziewanie, wbrew jego protestom. Wymawiał się od niej z chwalebną skromnością. Narzucili mu ją gwałtem, ale przyjął ją w końcu, a to przyjęcie tak go zaraz wysoko postawiło i tak wyraźnie jego postać przed narodem ciekawym zarysowało, że każda skaza na jego honorze jest przez miljon zazdrosnych oczu chciwie poszukiwaną. Kraj cały patrzy w niego i odkrywa, plamę...

Być może, iż plama ta przylgnęła do jego senatorskiej togi skutkiem oszczerstwa, że oskarżenie było czczym wymysłem i fałszem, które łatwo zbić mu przyjdzie? Jego przyjaciele zaręczają, że się łatwo z wszystkich zarzutów oczyści i że stanie przed światem z imieniem nieskalanem, chociażby tylko cieniem podejrzenia. Takie oczyszczenie stało się koniecznem i musi prędko nastąpić, jeśli się ma spełnić wróżba owej kobiety, co studentowi berło prezydenta obiecała, bo przy wszystkich swych wadach naród amerykański zachował dumę godną swej wielkości i tak nisko nie upadł, by mógł lub pragnął na władzę powołać męża, którego honor nie jest jak kryształ czystym i przejrzystym. W całej jego historji nie ma dotąd wypadku, by człowiek o przekupstwo podejrzywany kandydatem do najwyższej godności mienić się odważył i nawet Granta nigdy taki zarzut nie spotkał. Znając historję swego kraju, p. Garfield nie byłby zapewne kandydatury przyjął, gdyby się był do winy poczuwał i wypada przypuszczać, że posiada dowody, z kretesem wszystkie te fałsze i potwarze odpierające. Niedaleka przyszłość spełni lub zawiedzie te nasze oczekiwania.

Iż nikt do niedawna o tej brzydkiej sprawie nie myślał, dowodzi ta okoliczność, że stan Ohio wybrał p. Garfielda przeszłej wiosny do senatu związkowego, za jego długą, wierną i znakomitą służbę w kongresie. Każdy stan posiada tylko dwóch takich senatorów, których urzędowanie lat sześć trwa i jest najwyższą godnością, prócz krzesła prezydenta, do jakiej przyjść może obywatel Stanów Zjednoczonych, z wolnego wyboru swych rodaków. P. Garfield zająłby swój fotel senatorski w marcu r. 1881, jeśliby prezydentem wybranym nie był, a pewna nadzieja tego urzędu pocieszy go zapewnie za rozczarowanie, którego w listopadzie doznać może. Fornal z nad jeziora Erie skończy w najgorszym razie swą zadziwiającą karjerę w nizkiem, drążkowem krześle... Nie tak to źle, jakby się wydawało...

Oprócz osłabiających kandydaturę p. Garfielda zarzutów, będą mu także szkodziły niektóre jego cnoty.

I tak, był on zawsze obrońcą zasady płacenia długu państwa uczciwą, brzęczącą walutą, czem komunistów i heretyków ekonomicznych obraził. Jego powolność dla sprawiedliwych wymagań stanów południowych bywała kością w gardle dla radykalnych republikanów. Ująwszy się za prześladowanymi w Kalifornji Chińczykami, stał się niepopularnym między tamtejszem pospólstwem. Będąc umiarkowanym zwolennikiem zasad wolno-handlowych, nie jest *persona grata* u protekcjonistów. Wystąpiwszy stanowczo przeciw trzeciemu terminowi zbudził nieprzyjaźń grantystów. Wszystkie te złe żywioły będą pod nim otwarcie lub potajemnie dołki kopały, a główna nadzieja jego zwycięstwa polega na zjednoczeniu ludzi myślących i uczciwych pod jego sztandarem. Takie zjednoczenie zależy od jednego wymienionego warunku.

Po tych, z drugiej ręki czerpanych uwagach o najgłośniejszym z Amerykanów, zdam sprawę z wrażenia, jakie na mnie ten człowiek wywarł, gdy mi się trafiało widywać go, skutkiem mego zajęcia w roku 1875 przy trybunałach w Cincinnati. P. Garfield jest także mecenasem, na kształt wielu innych członków kongresu i tej gałęzi adwokackiej się poświęca, której zadaniem bywa do przysięgłych przemawiać, żeby wymową i prawa znajomością ich opinję kaptować. Tak w Anglji jak w Stanach Zjednoczonych tworzą ludzie tego rodzaju klasę osobną, bardzo poważną, kwiat palestry stanowiącą. Zajętego w ten sposób p. Garfielda widziałem kilkakrotnie, a jego postać uderzająca tak się wyraźnie w mej pamięci rysuje, jak gdybym ją był wczoraj oglądał...

Zaprawdę, trudnoby było zapomnieć tego chłopa postawą, a Cycerona wymową, którego płynne, namiętne, logiczne i porywające słowa zawsze efekt niepojęty tak na sędziów jak na galerję wywierały. Widzę go barczystego i sążnistego, w sukniach wolnych, zgoła nie modnych, w butach z calowemi podeszwami, z miękkim, zmiętym, pod ramieniem umieszczonym kapeluszem, z jedną łapą w kieszeni, a z drugą, dużą i ogorzałą w powietrzu, z miną wieśniaka, z wymową trybuna. Ma on największą głowę, jaką u kogokolwiek widziałem, a połowę tej głowy zdaje się tworzyć wyniosłe i wypukłe czoło. Orli, duży nos i jasno błękitne oczy czynią twarz jego pełną surowego wyrazu. Jego ruchy, niezgrabne czasem, przybierają w pewnych chwilach klasyczną powagę. Znać w nim człowieka na wodza ludu stworzonego. Zwraca on na siebie uwagę wśród stu innych znakomitych mężów. Przypomina cokolwiek Lincolna.

Tak się prezentuje człowiek, amerykańskim Peelem i Gladstonem nazywany, chłop-senator.

Jeszcze jedno.

Urodzony chłopem Garfield, nigdy się swego stanu nie zaparł. Posiadając świetne stanowisko

i fortunę pańską i piękną kamienicę w Washingtonie, w której podczas kadencyj kongresowych mieszka, powiększył dziedziczną swą ojcowiznę licznemi włókami i dwór na niej pobudował obszerny, ale skromny i poziomy. W tym dworze żyje co lata z fermerską prostotą, chodząc sam za pługiem, poganiając własną żniwiarkę, obcując z czeladzią, ucząc synów roboty polnej, odpoczywając *sub tegmine fagi* i przechowując piękną tradycję amerykańskiej pracowitości w której tkwi tajemnica powodzenia tej społeczności młodej. Wielu bogatych współobywateli Garfielda żyje jak on i pracuje na kształt niego, ale wybrać go należy bezwarunkowo jako wybitny tutaj przykład. W nim widzimy wcielenie amerykańskiego szacunku dla każdego rodzaju pracy. Jest on chodzącym apostołem tych zasad, że robota uszlachetnia i podnosi ludzi, że pańskie oko konia tuczy, że gospodarz wiejski może się obejść bez rządców i ekonomów i sam prowadzić gospodarstwo na kilkuset morgach, choćby był senatorem, kandydatem do korony i gościem w hrabiowskich salonach, i że w końcu ten pan i ten parobek, co w jednaki proch się przemienią i do wspólnego raju pójść się spodziewają, mogą z sobą podczas tej krótkiej pielgrzymki ziemskiej podzielać i pracę i rozmowy i zabawę i wieczerzę przy wspólnym stole, po dniu w pocie czoła przebytym zastawioną.

LISTY Z KRAJU.

Kołomyja. Wrzesień 1880.

Naturalnie, że „Szczutek“, z powołania swego, mając prawo śmiać się ze wszystkiego i ze wszystkich, miał pełne prawo śmiać się takim serdecznym, dowcipnym śmiechem i z wystawy Rusinów. Wszelako pewny jestem, że z żadnej ułomności, *niezależnej od woli ułomnego,* nie śmiałby się nawet „Szczutek“, gdyby nie miał do tego zasadniczych powodów, które wyjaśnię niżej. Jako gość przybyły do Galicji, jestem mocno uderzony i zainteresowany tą utarczką między Polakami i Rusinami, która uwidocznia się przedemną nietylko w piśmiennictwie Galicji, ale i w życiu. To właśnie spowodowało mnie zwiedzić rusińską wystawę w Kołomyi i zobaczyć jej przedstawicieli. Z tych moich wrażeń, chcę obecnie uczynić sprawozdanie, *bez żadnego uprzedzenia,* jako człowiek zupełnie bezstronny, nienależący wyłącznie do żadnej z tych narodowości — i, jednocześnie, należący do wszystkich Słowian. Mam do tego zupełne prawo, bo na wystawie kołomyjskiej rozmawiałem ze wszystkimi jej przedstawicielami różnymi słowiańskimi językami, i każdy z nich zaliczał mnie do innej narodowości , to do Polaków, to do Rosjan, to do Małorusów, to do Rusinów — twierdząc, że tylko rodowitym językiem można mówić tak czysto i poprawnie. Mnie to niezmiernie śmieszyło i odpowiedziałem w rusińskim języku, że we mnie mieszczą się wszystkie narodowości, bo jestem Słowianinem. Rusinom to się bardzo podobało i wypiwszy razem ruskiej wódki i wiszniówki, nie wiedząc wzajemnie o swoich nazwiskach, a nawet wcale o nie nie pytając — rozstaliśmy się w najlepszej komitywie. Pomimo to, powiedziałem jednak przy pożegnaniu: „Nie gniewajcie się na mnie panowie, jeśli w mojej relacji o waszej wystawie nie wszystko będę chwalić.“ Spełniając więc te słowa, przystępuję do rzeczy:

1. Na samym wstępie wystawione są okazy maszyn rolniczych p. Dajewskiego z Podhajec, które dokładnością roboty i prostotą konstrukcji, dobrze zastosowanej do niewielkiego włościańskiego gospodarstwa, zasługują na wielką uwagę.

2. Woły, krowy i ptactwo domowe, prócz dobrego utrzymania, nie zasługują na żadną uwagę, bo przedstawiają bardzo zwyczajne gatunki, którym właściwiej było pozostać w oborach, niż przyjeżdżać na wystawę.

3. Towarzystwo gospodarcze p. Kaczkowskiego wystawiło rzadkiej piękności okazy różnych ogrodowizn, lecz szczególniejszą uwagę zwracały na siebie olbrzymie buraki i rzepy, ważące przeszło 8 kil. i rzodkwie, ważące przeszło 4 kil., wyrosłe na gruncie Dolnego Strutyna. Oprócz tego był rzadki egzemplarz rzepy (petrowskiej wczesnej), która ma nietylko kolor, ale i smak dobrej brukwi, a także nowy gatunek nadzwyczaj delikatnych kartofli (szampionowemi zwanych), po raz pierwszy uprawianych i dlatego dość jeszcze drobnych. Inne gatunki kartofli również były prześliczne. Przy takiem bogactwie ogrodowin, mimowoli zwracał na siebie uwagę brak ładnej cebuli, kapusty, kalafiorów i szparagów, które również mogłyby być doprowadzone do takiejże doskonałości jak i inne warzywa, tem bardziej, że to są produkta najważniejsze i najsmaczniejsze. Jeszcze większym dowodem lenistwa i braku przedsiębierczości jest zupełne zaniedbanie uprawy wina, które mogłoby w tych okolicach być doprowadzonem do znacznej doskonałości, co stwierdza fakt następujący:

4. Włościanin Stupczatowa, p. Skryguniec, przysłał na wystawę tak piękne okazy gruszek, jabłek i śliwek, że piękniejszych pewnie nie znajdzie w całej Galicji; lecz co najważniejsze, że z tegoż samego swego ogrodu przysłał czarne i białe winogrona, bardzo dorodne i tak delikatne i słodkie, że smakiem niewiele ustępują węgierskim. Doprowadzone do większej jeszcze doskonałości, mogłyby one wydawać wcale niezłe wina i rozwinąć nową gałęź przemysłu krajowego. Zdaje się, że ten fakt zasługuje na zwrócenie na siebie uwagi pp. gospodarzy i towarzystwo p. Kaczkowskiego, jak słyszałem, ma się zająć na wielką skalę produkcją winogron na przyszły rok. Szczęść Boże!

5. Kołomyja przedstawiła swego wyrobu dywany, kwadratowe i podłużne (połowiki), które, odznaczając się mocą i gustem, mogłyby znacznie rozwinąć ten przemysł, gdyby nie wysokość ceny, zupełnie nieodpowiednia pod żadnym względem. Doskonałością tych wyrobów szczególnie odznaczyli się pp. Filipowicz i Czoporenko.

6. PP. Łuszczkiewicz z Sambora i Łukaszewicz z Wyszatycz, zwracają na siebie uwagę bardzo gustowną i elegancką robotą drewnianych ram, różnej wielkości i formy. Szkoda, że obydwaj nie połączą swych sił i nie produkują swych wyrobów na większe rozmiary, które mogłyby znaleźć wielki odbyt na rynkach galicyjskich.

7. Wyrób kożuchów znajduje się na bardzo nizkim stopniu i odznacza się tylko oryginalnie ładnemi wyszywaniami i szamerowaniami zewnętrznemi, co nie ma wszakże wcale żadnego praktycznego celu i tylko znacznie podwyższa cenę produktu. Pod względem tego fantastycznego kunsztu, celuje p. Połatajko z Nadwórnej.

Wiele innych wyrobów przedstawionych na wystawie, są albo zupełnie niepraktyczne, albo bardzo wątpliwego pochodzenia; tak naprzykład pani Hirszberg z Kałusza przedstawiła bardzo gustowne i eleganckie wyroby ze skóry lakierowanej, ale lakier jest tak niedobry, że cokolwiek rozgrzany, lepnie do palców, a przytem skórzany zapach jest bardzo silny, a sama delikatność wyrobów robi je bardzo nietrwałemi.

Do produktów i wyrobów wątpliwego pochodzenia, zaliczam żyto jare, bajecznej wielkości, którego każde ziarnko waży najmniej dwa grany. Jest także krzyż z cyprysowego drzewa dziwnie kunsztownej roboty, lecz sami panowie gospodarze wystawy powiedzieli mi otwarcie, że i oni sami wnioskują tylko, iż prawdopodobnie krzyż ten jest roboty jakiegoś mistrza Rusina. Jest jeszcze kilka obrazów olejnemi i wodnemi malowanych farbami, których pochodzenie jest również bardzo wątpliwe.

Otóż i wyczerpałem już cały zapas okazów rusińskiej etnograficznej wystawy, nie licząc różnych wyrobów cudzoziemskich, które, niewiadomo dlaczego, wystawiono na pułkach, jak np. wina węgierskie i francuskie. Z domowych zaś, narodowych trunków, wystawiono tylko wiszniak i maliniak p. Agopsowicza z Korolówki. Właściwie mówiąc, jest to czysty miód z dodatkiem trochę soku wiszniowego i malinowego. Trunek prawdziwie dziwny, bo bez żadnego smaku i zapachu, a nawet bez żadnej mocy. Są jeszcze dość ładne wełniane, bawełniane i lniane ręczne wyroby, służące do narodowych strojów kobiecych i mężkich, szczególnie zaś mocne i piękne wełniane pasy, wyrobu pani Wojnarowskiej z Kowalówki.

W rzeczywistości, cała ta nibyto rusińska wystawa, mogłaby być śmiało wystawą polską i niemiecką i żydowską, bo w każdym narodzie znajdą się bardzo zręczni rzemieślnicy różnego fachu. Znajdą się także i kapitaliści, którzy podobnie jak p. Dajewski mogą założyć fabrykę maszyn, przy pomocy dobrego mechanika, albo też na wzór p. Kaczkowskiego, przy pomocy dobrego ogrodnika, produkować będą na pokaz ładne egzemplarze warzyw. Wystawa ta wcale nie wykazuje, co mianowicie produkuje i jak produkuje cały naród rusiński, jak żyje, a co najważniejsza, z czego żyje. Dobrych płócien, dobrych skór, sukien i kożuchów, wcale się nie wyrabia; wszystkie zboża są nędzne, marne i produkowane w tak małej ilości, że ledwie wystarczą na wyżywienie. Nawet owoce i kukurudza uprawiają się o tyle tylko, o ile o tem pamięta matka natura. Nie można się więc dziwić, że żydzi, z właściwą im bezczelnością i chciwością, eksploatują wszystko. zachwyciwszy w swoje ręce cały handel, przemysł i całą pracę rusińskiego ludu. Któż temu winien, jeśli nie własna apatja i lenistwo, zostawiające odłogiem mnóstwo sił przyrody, mogących się zużytkować przy większej energji do pracy i przy większym umysłowym rozwoju.

Prowodyry rusińskiego ludu uporczywie szukają przyczyny tego materjalnego i umysłowego ubóstwa w działaniach Polaków, paraliżujących jakoby naturalny rozwój rusińskiego ludu. Jest to zupełnie bezzasadna, nawet niesumienna po-

twarz, rzucana na Polaków — nie przez lud biedny, a tylko przez jego prowodyrów.

I tak sprawozdanie o wystawie jakoś samo z siebie, mimo woli, doprowadziło mnie do tej cierpkiej konkluzji. Wypowiedziawszy ją jednak publicznie, muszę udowodnić faktami, bo podobnych wyroków o pewnych zjawiskach obyczajowych, nie można wydawać bezzasadnie. Przy tej sposobności będzie bardzo a bardzo stosownem rozebrać krytycznie artykuł, pomieszczony w nrach 63, 64, 65 i 66 rusińskiej gazety »*Diło*« pod śmiałym tytułem: »*Potwarcom Rusi*«. Otóż przy zestawieniu tego znakomitego artykułu z moim, da się to najlepiej widzieć, z której właściwie strony rzucają się systematycznie i perjodycznie różne potwarze, mające, rozumie się, swoją *arrière pensée*. Da się najlepiej widzieć, czy „Szczutek“ ma prawo śmiać się ze wszystkich, bez wyjątku, prowodyrów rusińskiej narodowości, czy też to był nieprzyzwoity postępek z jego strony, chociażby nawet jako pisma humorystycznego. Mówiąc jednak podobne rzeczy, znajduję koniecznem, zawsze odkrywać przyłbicę — i, dlatego też, pisząc mój następny w tej kwestji artykuł, bardziej polemicznej natury podpiszę na nim moje całe i prawdziwe nazwisko, które jest wiadomem redakcji „Tygodnia“, a tymczasem dość będzie i dwóch liter.

A. R.

Z niedrukowanych poezyj

MIECZYSŁAWA ROMANOWSKIEGO.

W domu przyjaciela.

Pokój z wami słoneczny! — nad waszemi głowy
Niech się wiecznie uśmiecha błękit lazurowy.
Niech będzie cisza z wami — a nad waszym domem
Niechaj się nigdy chmura nie wstrzymuje z gromem;
I niechaj każdy czyn wasz będzie miły Bogu —
A niech tylko gość bratni stawa w waszym progu.

Słodko mi patrzeć na was, żeście tak szczęśliwi! —
Ciszej mi w dzikiej piersi, ducha radość żywi...
Wszędzie mnie oczekuje jeszcze trosków mnogo:
U was jednych myśli me w ciszy spocząć mogą,
A przyszłość wasza tak mi nic serca nie trwoży,
Jakby mnie już zapewnił o niej anioł boży.

Żegnam was! dom wasz biały zostawiam w pokoju. —
Gdybym mógł was powitać po wielkich dniach boju!
Gdybym w onczas mógł witać, kiedy wolne rzesze
Przekują karabiny na sierp i lemiesze,
Gdyby.... Ach! najgorętsza to modlitwa ducha!...
Cicho!... niebo otwarte... może Bóg nas słucha?!...

Medyka, 6. lipca 1859 r.

Mieczysław Romanowski.

W JAKI SPOSÓB REDAGOWAŁEM
GAZETĘ ROLNICZĄ.

HUMORESKA

MARKA TWAINA.

Wziąłem w zastępstwie redakcję gazety rolniczej, nie bez pewnej obawy, tak, jakby bez obawy nie objął dowództwa nad okrętem zwykły mieszkaniec stałego lądu. Lecz znajdowałem się wtedy w stosunkach, które nie pozwalały mi lekceważyć pensję przywiązaną do redakcji. Zwykły redaktor gazety, chciał sobie odpocząć, a ja przyjąłem warunki, które mi ofiarował i zająłem jego miejsce.

Prawdziwą biesiadą duchową było dla mnie to uczucie, iż jestem znowu przy pracy i przez cały tydzień niezmordowanie i z wielką przyjemnością pracowałem. Nareszcie oddano gazetę pod prasę i czekałem z niepokojem dzień cały, aby zobaczyć, czy też moja działalność zwróciła czyjąkolwiek uwagę na siebie. Gdym opuścił biuro redakcyjne około zachodu słońca, rozbiegła się na wszystkie strony grupa mężczyzn i chłopców czekających przy schodach i słyszałem jak dwóch lub trzech z nich mówiło: »To on!«

Zrobiło mi to pewną przyjemność.

Drugiego ranka zastałem przy schodach taką samą grupę, kilka par w oddali i wiele pojedyńczych osób, przyglądających mi się z zaciekawieniem. Grupa rozstąpiła się gdym szedł, potem się zwarła i słyszałem jak ktoś powiedział: »Spójrz na jego oczy!«

Udawałem żem nie zauważył tych dowodów zaciekawienia, lecz w głębi duszy cieszyłem się mocno, i postanowiłem napisać o tem do mojej ciotki. Przez małe schody wszedłem na górę i usłyszałem przez drzwi wesołe głosy, oraz donośne śmiechy. Otworzyłem szybko podwoje i spostrzegłem dwóch na wieśniaków wyglądających młodych ludzi, których twarze przeciągnęły się i stały blademi gdy mnie ujrzały, poczem obaj wyskoczyli z hałasem przez okno. Byłem bardzo zdziwiony.

Coś w pół godziny potem, pojawił się stary jegomość, z długą, zwieszającą się białą brodą i z delikatną lecz dość surową twarzą. Proszony przezemnie usiadł. Zdawało się, że coś mu cięży na sercu. Zdjął kapelusz, postawił go na ziemi, wyciągnął z niego czerwoną jedwabną chustkę i jeden numer mojej gazety.

Położył gazetę na kolanie i czyszcząc chustką okulary, rzekł:

— Czy pan jesteś nowym redaktorem?

Powiedziałem, że mam ten zaszczyt.

— Czy przed obecną działalnością, redagowałeś pan kiedy jakie pismo rolnicze?

— Nie — odrzekłem — to moja pierwsza próba.

— Tak się zdaje... Czy pan masz jakie praktyczne doświadczenie w sprawach rolniczych?

— Zdaje się, że nie.

— Jakieś przeczucie kazało mi tak sądzić — odrzekł stary jegomość, wkładając na nos okulary i przyglądając mi się pilnie. Tymczasem składał gazetę we czworo. Muszę panu odczytać ten ustęp, który mię doprowadził do tego przekonania. To był ten artykuł wstępny. Posłuchaj mię pan i powiedz mi potem, czy sam to pisałeś:

»Buraków nigdy nie należy zrywać; to im szkodzi. Daleko lepiej kazać chłopcu wleźć na drzewo i potem strząsnąć.«

— No i cóż pan sądzisz o tem? Bo ja w samej rzeczy myślę, iż pan to pisałeś?

— Co ja o tem sądzę? Sądzę, iż to jest słusznem. Sądzę, że w tym jest sens. Sądzę, że rok rocznie miliony korcy buraków w naszem mieście dla tego tylko się psują, że są zerwane w stanie na pół dojrzałym, gdy tymczasem, jeżliby kazano chłopcu wleść na drzewo i wstrząsać....

— Wstrząsaj pan swoją babkę! Buraki nie rosną na drzewie!

—Aaa! rzeczywiście nie, istotnie nie? Któż to utrzymywał? Było to tylko figuryczne wyrażenie, zupełnie figuryczne wyrażenie. Każdy, kto tylko w ogóle cośkolwiek pojąć może, odrazu domyśli się, że pisząc to myślałem, iż chłopiec powinien wstrząsać gałęziami...

Wtedy stary jegomość powstał, podarł gazetę na drobne kawałki, podeptał ją nogami, poczem rozbił wiele drobnych przedmiotów swą laską i rzekł, iż mniej umiem, niż krowa. Potem wyszedł i trzasnął drzwiami — słowem zachował się w taki sposób, iż przyszedłem do przekonania, że był z czegoś niezadowolony. Ponieważ jednak nie wiedziałem co mu zawadza, więc nie mogłem mu dopomódz.

Po chwilce wsunęła się przez drzwi długa, trupio blada kreatura, z cienkiemi kędziorami spadającemi aż na ramiona, i raptownie wstrzymała się, położywszy palec na ustach i nachyliwszy głowę i górną część ciała w postawie podsłuchującej. Nie było słychać żadnego głosu... Ciągle jednak podsłuchiwał... Żadnego odgłosu... Potem zamknął drzwi na klucz i zbliżył się na palcach, ostrożnie do mnie, na odległość ramienia. Zatrzymał się i zbadawszy z natężeniem wyraz mojej twarzy, wyciągnął z kieszeni numer naszej gazety i rzekł:

— To pan pewnie pisałeś. Prędko, prędko, przeczytaj pan to! Ulżyj mi pan. Ja cierpię.

Czytałem co następuje — i gdy zdanie za zdaniem wychodziło z ust moich, mogłem się przekonać, jaką ulgę mu to sprawiało, mogłem widzieć, jak naprężone mięśnie przyjmowały zwykłą pozycję, wyraz bojaźni znikał z twarzy, a spokój rozlewał się po obliczu, jak litościwe promienie księżyca po dzikim krajobrazie:

»Guano jest wybornym ptakiem, lecz potrzebuje starannego pielęgnowania. Trzeba go zaczynać hodować najwcześniej w czerwcu, a najpóźniej we wrześniu. W zimie trzeba mu dać ciepły kącik, gdzieby mógł wysiadywać pisklęta.

»Nie ulega wątpliwości, że żniwa

tego roku będą bardzo późne. Byłoby zatem pożytecznem, gdyby rolnicy zaczęli siać kukurudzę w lipcu, zamiast we wrześniu.

»O ogórku. Jagoda ta jest ulubionym napojem krajowców z wnętrza nowej Anglii; przenoszą ją oni nad agrest, przy pieczeniu owocowych ciastek. Nawet chętniej używają jej do karmienia bydła, niż malin, bo więcej żołądek napełnia, niż karmi. Ogórek jest jedyną jadalną odmianą rodziny *pomarańczowatych*, udającą się w krajach północnych. Lecz zwyczaj sadzenia ich na podwórku między krzakami, staje się coraz rzadszym, bo teraz ogólnie twierdzą, iż ogórek, jako drzewo cień dające, nie może być korzystnie użytem.

»Teraz, gdy zbliża się czas gorący i...»

Słuchacz mój podskoczył i zaczął mi ściskać dłonie mówiąc:

— To wystarcza! Wiem teraz, że nie postradałem żadnego z pięciu zmysłów, boś pan przeczytał to dosłownie tak, jak ja przeczytałem. Lecz, człowieku, gdym to dziś rano czytał, rzekłem do siebie: Nigdy, nigdy dotąd nie wierzyłem, chociaż przyjaciele moi nieraz to twierdzili, że jestem warjatem, lecz teraz wierzę, że tak jest istotnie; ryknąłem przytem tak, że słychać było na dwie mile w około i wybiegłem na ulicę, aby kogoś zamordować, — bo, musisz pan wiedzieć, że sądziłem, iż pierwej czy później do tego przyjść musi, a więc lepiej było zacząć odrazu. Jeszcze raz przeczytałem jeden z ustępów, aby się przekonać, a potem podpaliłem mój dom i uciekłem. Różnych ludzi pokaleczyłem, a chłopca jednego wrzuciłem na drzewo, z którego mogę go ściągnąć, gdy mi się podoba. Lecz przechodząc mimo redakcji, pomyślałem sobie, idź i rozmów się, abyś mógł się przekonać naocznie. I rzeczywiście teraz jestem już pewnym swego i powiadam panu, że to wielkie szczęście dla tego chłopca na drzewie. Wracając, zapewnebym go zamordował. Bądź pan zdrów, adieu! Zdjąłeś mi pan wielki ciężar z piersi. Rozum mój wytrzymał próbę jednego z pańskich rolniczych artykułów i wiem, że teraz nic nie zdoła go przewrócić. Bądź zdrów, mój panie!

Było mi jakoś nieprzyjemnie z powodu tych osób pokaleczonych i podpalenia domu, awantur, któremi się zabawiał ten człowiek; bo nie mogłem uniknąć przekonania, iż jestem do pewnego stopnia współwinowajcą; lecz myśl ta prędko została usuniętą, bo zwykły redaktor gazety wszedł do pokoju.

Wtedy pomyślałem: »No, gdybyś pojechał do Egiptu, co ci szczerze radziłem, to może miałbym sposobność zrobić z gazety coś porządnego. Ale już znowu jesteś tutaj. Właściwie oczekiwałem ciebie.»

Oblicze redaktora było smutne, przygnębione i rozpaczliwe.

Rozejrzał się po spustoszonych sprzętach, które rozbite były przez starego zawadjakę i obu młodych farmerów i rzekł potem:

»To smutna historja, bardzo smutna historja. Rozbito flaszkę ze szlamem roślinnym, sześć szyb, spluwaczkę i dwa lichtarze. Lecz to jeszcze nie jest najgorsze. Dobra sława gazety, otrzymała cios straszliwy — obawiam się, że na zawsze. Wprawdzie nie rozchwytywano nigdy tak naszej gazety, nigdy nie rozprzedano tak wielkiego nakładu, nigdy nie miała jeszcze tak wielkiego rozgłosu; lecz któżby życzył przez obłąkanie dojść do sławy, przez obłęd do dobrobytu?... Mój przyjacielu, na uczciwość moją, ulica pełną jest ludzi, inni wleźli na płoty, w nadziei, że cię zobaczą, bo sądzą żeś zwarjował. I rzeczywiście mają rację po przeczytaniu wstępnego artykułu. Toż to hańba dla dziennikarstwa. Jak można było być tak zarozumiałym i sądzić, iż się jest uzdolnionym do redagowania rolniczej gazety! Zdaje mi się, iż pan nie masz pojęcia o najpierwszych zasadach rolnictwa. Mówisz pan o młóceniu i o drenowaniu jakby to było jedno i to samo. Gadasz pan o drapieżnych szponach u krów. Polecasz pan ułaskawianie tchórzów z powodu łagodności ich usposobienia i sprytu do łowienia myszy. Na Boga, przyjacielu, gdybyś całe twoje życie poświęcił na zdobycie nieuctwa, to nie otrzymał byś z większym applauzem stopnia doktorskiego, niż dzisiaj. Uwaga pańska, że kasztany stają się coraz bardziej ulubionemi jako przedmiot handlu, jest obliczona na to, żebv zabić moją gazetę. Musisz pan opuścić swoje stanowisko i odejść. Już dosyć mam tych wakacyj — i tak nie miałbym już więcej żadnej przyjemności. A już napewno nie, gdybyś pan został za stołem redakcyjnym. Obawiałbym się ciągle, że pan znowu polecisz coś w takim rodzaju czytelnikom gazety. Tracę zawsze cierpliwość, gdy pomyślę o tem, iż pan rozbierałeś »parki ostrygowe« pod tytułem »ogrodnictwo artystyczne«. Musisz pan odejść. Nic mnie nie zmusi do tego, abym sobie pozwolił jeszcze jeden dzień wakacyj. Dla czegoś pan mi nie *powiedział*, że nie masz żadnego pojęcia o rolnictwie!«

— Dlaczegom panu nic nie powiedział, łodygo kukurudzy, głowo kapusty, gałązko bobu? Po raz pierwszy w życiu słyszę tak nędzną uwagę. Powiadam panu, od lat czternastu mam do czynienia z redakcjami, a po raz pierwszy słyszę, że trzeba coś umieć, aby pismo redagować. Buraku pastewny! Któż więc pisze krytyki teatralne dla drugorzędnych dzienników? Postępowi szewcy i aptekarczuki, którzy o scenie i dobrem przedstawieniu tyle wiedzą, co ja o rolnictwie. Kto pisze recenzje książek? Ludzie, którzy ani jednej nie napisali. Kto układa ciężkie artykuły wstępne o sprawach finansowych? Indywidua, które miały znakomitą sposobność niedowiedzenia się o tem niczego. Kto pisze krytyki pochodu wojennego przeciw czerwonoskórym? Panowie, którzy nie umieją odróżnić okrzyku wojennego od wigwamu i którzy nigdy nie brali udziału w wyścigach z tomahawkami, oraz nie wyciągali z członków rodziny swojej strzał, aby niemi rozpalić ognisko. Kto pisze odezwy przeciw pijaństwu i jęczy nad strumieniami wódki? Ludzie, którzy w grobie będą po raz pierwszy trzeźwymi. Kto redaguje gazety rolnicze? Zwykle ludzie, którzy mieli niepowodzenie w interesie poetycznym, w rzemiośle powieściopisarskiem, w robocie dramatów sensacyjnych, w wielkomiastowem dziennikarstwie i wskutek tego schodzą nareszcie na rolnictwo, jako tymczasową ochronę od domu ubogich. Pan mnie chcesz pouczać o sprawach dziennikarskich! Panie! przetrawiłem je od Alfa do *Omaha* i powiadam panu, im mniej się wie, tem większe się robi wrażenie i tem więcej można wymagać pensji. Bóg widzi, że gdybym był nieukiem, a nie człowiekiem wykształconym, i bezczelnym, zamiast być skromnym, wyrobiłbym już sobie imię w tym zimnym, samolubnym świecie. Przyjmuję moją dymisję. Po takiem obejściu się ze mną, gotów jestem odejść. Lecz spełniłem mój obowiązek. Wypełniłem warunki mego kontraktu, ile mi na to pozwolono. Powiedziałem panu, iż mogę uczynić gazetę pańską interesującą dla wszystkich warstw ludności i rzeczywiście tego dokonałem. Powiedziałem, że stawiam sobie za punkt honoru doprowadzić nakład do dwudziestu tysięcy egzemplarzy. I gdyby mi jeszcze dwa tygodnie zostawiono, doprowadziłbym do tego. Sprowadziłbym panu najlepszy rodzaj czytelników, jaki kiedykolwiek gazeta rolnicza mieć może. Ani jednego rolnika między nimi. Ba, nawet ani jednego indywiduum, któreby mogło odróżnić drzewo melonowe od krzaku brzoskwiniowego. To pan tracisz przy tem zerwaniu umowy, pan, ogórek pasztetowy. Adieu.

Powiedziawszy to odszedłem.

TEATR.

Mimo jesiennego chłodu i coraz dłuższych wieczorów, nasza sala teatralna jeszcze ciągle świeci pustkami, jak gdyby sezon ogórkowy trwał w najlepsze.

Zaiste, gdyby jaki obcokrajowiec, nieznający naszych stosunków lokalnych, chciał z współudziału publiczności w czasie reprezentacyj teatralnych wnioskować o liczbie mieszkańców naszego miasta, tudzież o ich umysłowych potrzebach: sąd jego wypadłby bardzo niepochlebnie! A przyznać należy, że przynajmniej w dwu ostatnich tygodniach, z małymi wyjątkami wina nie leżała po stronie dyrekcji. Przeciwnie, repertoar ostatnich dni był wcale staranny i urozmaicony. Prócz stereotypowo powtarzających się operetek, w których tymczasem musiał p. Sachorowski objąć role p. Skalskiego z powodu chwilowej niedyspozycji tegoż, odegrano „Intrygę i miłość“, „Nerona“, „Zemstę“ i wiele innych, niemniej przedstawiono po raz pierwszy dwie nowe sztuki jednoaktowe, a mianowicie komedyjkę "Złoty cielec“ Stanisława Dobrzańskiego i „Iskierka“ z francuskiego, w tłómaczeniu panny Turczynowicz. Jeżeli do tego dodamy, że w tym czasie debiutowały aż cztery nowe siły artystyczne, to niepodobna nie przyznać, że dyrekcja zaczyna się krzątać około urozmaicenia repertoaru i skompletowania personalu. Z góry jednak można przewidzieć, że przy tak słabem poparciu ze strony publiczności trudno będzie myśleć o znaczniejszych ulepszeniach.

A propos debiutów, musimy dyrekcji, którą przed chwią braliśmy w obronę wobec zbyt obojętnej publiczności, wytknąć całkiem niewłaściwe postępowanie. Ostatniemi czasy można było zauważać, że jeśli tylko ktokolwiek zgłosił się do debiutowania, dyrekcja, nie przekonawszy się poprzednio o ile debiutant podoła tej lub owej roli, ogłasza rozstrzelonymi głoskami „Pierwszy występ“ pana X. lub pani Y. Publiczność przełamuje chwilowo swój teatrowstręt i gromadzi się nieco liczniej niż zwykle na to, aby — uciekać już z drugiego aktu. Tak było na przedstawieniu „Traviaty“ d. 23. b. m. z debiutem pana Spławiszewskiego, tenora. Tak dzieje się także z innymi debiutami, które zniechęcają na pierwszym kroku początkujących artystów, kompromitują dyrekcję, a odstręczają lekceważoną w ten sposób publiczność. Całkiem to nowy sposób, ażeby za experymenta, które się powinny odbywać *tacite* na próbach wobec dyrekcji i reżyserji, mających ocenić, ażali debiutant może być przypuszczony na scenę — kazać sobie płacić i to nawet ceny operowe! Jeśli obowiązkiem naszym animować publiczność do popierania sceny narodowej, to nie mniejszym obowiązkiem wytykać dyrekcji tak rażące uchybienia, popełnione co gorsza, na jej własną szkodę. Chcemy być bezstronnymi.

Ale wróćmy do obu nowych sztuczek.

„Złoty cielec“ nie może mieć pretensji do nazwy komedji, jest to zatem farsa, o tyle wyróżniająca się korzystnie od innych, podobnej miary utworów, że jest wybornym obrazkiem pewnej klasy naszego społeczeństwa. Obrazek to rysowany z zacięciem, ale gdzie niegdzie, zwłaszcza tam gdzie z pominięciem prawdopodobieństwa obliczony na poklask mniej wybrednych — wyciągnięty grubymi częstokroć nieuzasadnionymi rysami. Rzecz sama osnuta na tle stosunków przedkrachowych w Wiedniu. Jak już z samego tytułu domyśleć się można, autor przedstawia nam tu z humorem owych bohaterów »*von der Börs*«, którzy, trawieni niepokonaną żądzą złota, wyzuli się ze wszystkich szlachetniejszych instynktów. Religja, narodowość, punkt honoru a nawet jakikolwiek szlachetniejszy poryw, są dla owych nowoczesnych kosmopolitycznych plutokratów semickiej rasy, jakimś czczym, bo niedającym się w brzęczący sposób zreklizować pomysłem — ba, nawet idiotyzmem! Mają u nich te względy tylko w takim razie praktyczne znaczenie, kiedy pod ich pozorem możliwą się staje jaka z karnymi paragrafami w sprzeczności będąca spekulacja. Wówczas zmienia się dowolnie religję i narodowość, a uczuciami frymarczy się *licitando* — w miarę potrzeby. Tego to rodzaju ludźmi są w sztuce p. Dobrzańskiego: bankier *Rosenblatt* (p. Podwyszyński) tudzież *Goldstern* ojciec (p. Zboiński) i *Goldstern* syn (p. Lubicz). Wszyscy ci trzej czciciele złotego cielca żywią oczywiście co do zawierania związków małżeńskich jedno i to samo przekonanie, że konkury są targiem, małżeństwo kupnem, a przyszła żona — porękawicznem. Cena wywołania i popyt zależą przy tym szlachetnym handelku od cen notowanych właśnie na giełdzie. W podobny sposób dobija Rosenblatt, wzbogacony Börsianer, targu o wydanie swej córki Emmy za Goldsterna junior. Jednakże Emma, chociaż i u niej dzięki atmosferze, w jakiej się wychowała, uczucia objawiają się w sposób nieco dziki — wzdryga się przed tem małżeństwem, tem bardziej, że pokochała sekretarza swego ojca — Rawicza (p. Walewski). On jednakże mimo wzajemnie żywionego uczucia nie ma widoków pozyskania jej ręki, będąc sam ubogim i piastując tylko podrzędne stanowisko w kantorze Rosenblatta. Atoli w ostatniej chwili umie obfita w pomysły Emma poróżnić zręcznie między sobą obu Goldsternów, a uzyskawszy w ten sposób chwilową zwłokę w układach małżeńskich, wyłudza od Rawicza 200.000 zlr., zrealizowanych właśnie przez tegoż z wymiany papierów z polecenia Rosenblatta; jest zatem w posiadaniu sumy, stanowiącej cały jej posag. Podczas kiedy Rawicz na rozkaz Emmy symuluje przed Rosenblattem, że sumę ową zgubił wracając z giełdy do biura — co bankiera wprawia w nieopisaną rozpacz, wybornie odegraną przez p. Podwyszyńskiego, pojawia się Emma. Znalazłszy rzekomo ową sumę, rzuca ją w obecności ojca do kominka, aby się w ten sposób uwolnić od Goldsterna, w przekonaniu, że tenże nie poślubi dziewczyny bez posagu. Rawicz, który za rękę Emmy chętnieby się zrzekł jej posagu, tryumfuje i obstaje tem silniej przy swych zamiarach matrymonialnych, o ile one teraz dopiero zyskują szanse powodzenia. Rosenblatt nie pojmuje wprawdzie swem giełdziarskiem sercem tej, wedle jego zdania, „głupiej“ miłości Rawicza, ale obawiając się, aby córka na koszu nie osiadła, zezwala w końcu na małżeństwo. W tejże chwili wykazuje się podstęp Emmy; rzuciła ona do kominka na postrach ojca a na odczepne dla Goldsteina pakiet, ale pakiet niepotrzebnych papierów, zatrzymując banknoty przy sobie. Niepodobna już cofnąć danego przyrzeczenia; Rosenblatt poddaje się zatem losowi, tem chętniej, że Rawicz szukając serca a nie pieniędzy, zrzeka się sumy posagowej, którą bankier z niekłamanem zadowoleniem chowa do kieszeni.

Wesoła ta sztuczka została odegraną, zwłaszcza na drugiem przedstawieniu, doskonale. Najżywsze uznanie należy się pp. Podwyszyńskiemu, Zboińskiemu i Lubiczowi tak za wyborną grę jako też bardzo trafną charakteryzację. Również p. Ładnowska odegrała bardzo dobrze rolę znarowionej autokratki domowej a pan Walewski odpowie najzupełniej swemu zadaniu, jeżeli tylko zapanuje trochę więcej nad swymi ruchami, zwłaszcza zbyt szarżowaną giestykulacją rąk. Rola ta wymaga w ogóle jak najwięcej bierności, gdyż Rawicz nie jest w całej intrydze niczem więcej jak tylko pionem. wygrywającym batalię nie dla własnych zasług, ale tylko dzięki energii Emmy, która go krok za krokiem prowadzi. Mimo swych wielkich zalet, jak np. bardzo zręcznego inscenowania i dowcipnych zwrotów djalogu, ma ta sztuczka i swoje braki. Charaktery traktowane w ogóle tylko epizodycznie, nie wszystkie zatem rysy z jednakową wykończone są troskliwością, co tu i ówdzie nienaturalne i zbyt doraźne sprowadza przeskoki; dość wspomnieć o pierwszej scenie między Emmą a Rawiczem.

W całości jednak sztuka została przyjęta bardzo sympatycznie, publiczność uśmiała się do woli — można zatem przypuszczać, że „Złoty cielec“ stale utrzyma się w repertoarze.

Drugą nowością była jednoaktowa komedyjka E. Paillerona: „Iskierka“. Jestto prawdziwe cacko, miniaturowe studjum psychologiczne. Raul Geran (p. Ładnowski) kochał przed laty Leonję Renat (p. Nowakowska), ale wówczas nie mógł jej poślubić. Dziś stosunki się zmieniły, lecz zdaje się obojgu, że uczucia te dawno już w ich sercach przygasły, a pozostała jeno przyjaźń. Leonja radaby widzieć Raula bądź co bądź szczęśliwym, więc popiera przynajmniej jego małżeństwo z swą córką chrzestną Zofją (p. Wisnowska) Raul nie byłby od tego, lecz Zofja, snać lepiej czytająca w ich sercach niż oni sami, nie chce być przeszkodą ich szczęścia i odmawia konkurentowi bez podania powodów. Raul mylnie przypisuje tę odmowę uspionemu jeszcze uczuciu w sercu kilkunastoletniego podlotka i sądzi, że wystarczyłaby jedna mała „iskierka“ do rozniecenia pochodni Amora w piersiach naiwnego dziewczęcia. Tą „iskierką“ ma być pobudzenie zazdrości.

Raul zatem i Leonja postanawiają odegrać między sobą scenę miłośną, która wedle ich mniemania ma wpłynąć na decyzję Zofji. Ale jakżeż się przerachowali w swych kombinacjach! Wśród rozmowy przekonywają się dowodnie, że dawna ich miłość wcale jeszcze nie ostygła, owszem, znajdują w sobie wszystkie warunki, któreby ich mogły uszczęśliwić. Nic też dziwnego, że wśród coraz żywszego dyskursu tracą z oka pierwotny swój zamiar i kończą rozmowę rzucając się czule nawzajem w objęcia. Wśród tego nadchodzi Zofja, dla której ta scena jest niezbitym dowodem prawdziwości jej podejrzeń. Przelewa zatem swe prawa na matkę chrzestną i łączy szczęśliwą parę, choć powiedzmy otwarcie, raniąc tem własne serduszko. Może to za wiele heroizmu, za wiele poświęcenia ze strony młodziutkiego dziewczęcia, tem bardziej, że Zofja dla uspokojenia Leonii oświadcza nawet, że idzie za jakiegoś starego notarjusza, ale tak chciał autor, a nareszcie byćby to mogło.

Na scharakteryzowanie gry artystów jednego tylko możemy użyć wyrazu, że grali znakomicie; a że o rękę *takiej* Zofji ubiegali się równocześnie i Raul i jakiś tam notarjusz — nie dziwimy się wcale.

Tego samego wieczora odegrano jeszcze „Chłopów arystokratów“. Skutkiem takiego zestawienia sztuk pozwalamy sobie maleńkiej allegorji *in usum* dyrekcji:

Coby też powiedziano o kucharzu, któryby po wybornych francuskich pasztecikach podał „na urząd“ przyrządzone zrazy z kaszą? Nie wiem. To pewna, że zrazy są wyborną potrawą „odświętną“, ale nie w dzień powszedni, a dalszy warunek, aby były stosownie podane i dla odpowiedniej publiczności. Ztąd morał, że kto ma uczyć gustu drugich, musi go przedewszystkiem sam posiadać!

W roli Koguciny w „Chłopach arystokratach“ dobiutowała po raz drugi p. Piasecka. Jestto artystka rutynowana, posiadająca wielki zapas werwy i swobody na scenie, cóż z tego, kiedy z jej głosem, przeskakującym ustawicznie w nieprzyjemny dyszkant, nie pogodzimy się podobno nigdy. Nie zawadzi jeszcze artystce uczynić i tę uwagę, że prawda w oddaniu namiętności pojęta zbyt realistycznie, staje się prostacką, a wówczas usuwa się z poziomu sztuki a zatem i z pod krytyki.

Tego samego warunku, tj. sympatycznego, giętkiego głosu, mimo innych zalet, brakuje też i drugiej debiutantce, pani Stępkowskiej, zresztą ma i ona pewne prowincjonalne nawyczki, którychby się wypadało koniecznie pozbyć. Tak np. w „Krewniakach“ markowanie roztrzepania tem, że zamiast swego bierze na głowę męzki

kapelusz i biega w nim po scenie, mogło zachwycić — tylko galerję.

O p. Saganowskim, artyście teatru krakowskiego, trudno co orzec, bo dotychczas wystąpił dopiero raz jeden, w małej i bezbarwnej roli „Mirskiego“ w „Krewniakach“; pozostawiamy zatem ocenę gry jego na przyszłość.

R. St.

Kronika Tygodniowa.

Doświadczywszy cokolwiek żywszej emocji, zaczyna się Lwów skupiać sam w sobie. Przymrozki już nawiedzają nas co rano, liście zaczynają żółknąć, kasztany lecą z drzewa ku wielkiej pociesze dziatwy, a na ulicach prawie co krok spotyka się piłatów operujących drzewo na zimę w tenże sam sposób, jak wiedeńskie pisma centralistyczne piłują nowego ministra skarbu dra Dunajewskiego. I Bóg wie co temu człowiekowi zarzucają, Bóg wie co przewidują, podsuwając intencje, o których ani mu się śniło, naprzykład uwolnienie Galicji od powiększenia podatku gruntowego. Szanowni przyjaciele ministra wypierają się za niego jak mogą, że to nieprawda, że owszem dołoży nam miljon i ćwierć tych przyjemności podatkowych, że jak najmniej drażnić będzie Niemców — wszystko to nic nie pomaga, piłują po swojemu w nadziei, że go przepiłują. Tymczasem dopóki serdeczna przyjaźń nasza z Prusakami trwa niezachwianie — nic z tego nie będzie i my wsadzimy jeszcze jednego Polaka do ministerjum, a wtedy już wszelkie deficyta austrjackie znikną, bo właśnie nieobecność słowiańskich żywiołów w rządach Austrji, była dotąd najważniejszym jej deficytem.

Powiadają zwolennicy tej idei, że jak szlachta polska poruszy trzosami i zechce postanowić nowy podatek dochodowy pod nazwą ofiary, jak to bywało onemi czasy, to zasypiemy Wiedeń papierkami i wyrówna się państwowy credit z debetem. Jeżeli p. Tański mógł ofiarować w Krakowie sto tysięcy Krakusów, a my we Lwowie dziesięć procent powyższej liczby honorowych obywateli.... to jest chciałem powiedzieć straży obywatelskiej — to cóż mówić o papierkach, które przecie mniej warte od człowieka — Więc kochani czytelnicy weźmy się do pugilaresów, a głupstwo deficyty! pokażmy Niemcom, że tak dobrze jak na krzyżowej sztuce znamy się i na finansach, a wtedy raz na zawsze gęby im się pozatyka i będzie spokój...

Naprzykład szanowny Magistrat Lwowski potrzebuje dziewięćdziesiąt osiem tysięcy z czemś guldenów na wykupienie zastawionych papierów, a czy się kłopocze? Nie. Czy to nie ma lokatorów we Lwowie, którym można zamiast 5% dodać drugie pięć i deficyt się wyrówna. Przypatrywali się illuminacji, słyszeli o balu, pełnili straż honorową i to wszystko zadarmo — niechże też coś zapłacą; — niepodobna przecie wszystkiego kłaść na tych nędzarzy właścicieli, którzy prócz kamienic żadnego nie posiadają majątku, ani pensji nie biorą.

* * *

Wystawa towarzystwa sztuk pięknych kończy już przerywany swój żywot. Nie wdając się w szczegółowe ocenienie wartości artystycznej wystawionych tam płócien, powiemy ogólnie, że przedstawia się bardzo skromnie. Dlatego zdaje nam się, byt jej w dotychczasowych granicach działalności Towarzystwa nie wiele rokuje szans na przyszłość. Dwa towarzystwa w Galicji trochę za wiele, bo rozdzielają się siły i fundusze, a rywalizacja z Krakowem posiadającym szkołę malarstwa, jest prawie niepodobną. Sądzimy przeto, że daleko lepiej ta rzecz dałaby się urządzić, gdyby oba towarzystwa zlały się w jedno, a wystawy kolejno przenoszono z Krakowa do Lwowa, jakto było zamiarem p. Siemiradzkiego. Czy raz na rok, czy co dwa lata, wielka wystawa dzieł naszych artystów miałaby tę szansę, że zgromadzałaby całe siły tu i tam dając możność ocenienia postępu sztuki polskiej, członkom zaś i artystom zapewniając daleko większe rękojmie kupna i zbytu prac zebranych w liczniejszym komplecie. Przy takich wystawach dałaby się urządzić loterja i zarazem losowanie zakupionych przez Towarzystwo obrazów, co musiałoby ściągnąć więcej ciekawość i interes publiczny. Jeżeli ruchome wystawy Krywulta udają się w Królestwie, dlaczegoż nie miałyby się udać takież same urządzone przez zasobne towarzystwo. Wszelkie prywatne i zaściankowe pretensje powinny iść na bok, gdy idzie o dobro powszechne. Niech Kraków mający odpowiednie pomieszczenie w Sukiennicach ma stałą wystawę, a Lwów nic na tem nie straci, jeżeli przez jeden miesiąc w roku zobaczy u siebie zgromadzone prace wszystkich artystów polskich, a nie tak jak dziś tylko ich cząstkę. Wtedy i koszta się opłacą i wystawa zainteresuje.

* * *

W przyszłym tygodniu mamy znów drugi targ międzynarodowy na zboże, wystawę chmielu i walne zebranie Towarzystwa gospodarskiego, które w programie do rozpraw zamieściło bardzo ważne sprawy obchodzące kraj cały. Ożywi się tedy miasto nasze, zobaczymy znów ogorzałe twarze i poczciwe miny tych szanownych pracowników na ciężkiej niwie galicyjskiej. O ile dochodzą nas wieści, gospodarze większej posiadłości ziemskiej nie są zadowoleni bardzo z tegorocznych zbiorów. Zboże źle sypie, a wiele uszkodziły słoty podczas zbiorów. Teraz rozstrzygną się ceny, daj Boże tylko, aby dobre. Nie mamy tu na myśli protegowania koniecznie zagranicznego kupca z pominięciem tutejszych, bo przyznajemy, takie dążenia targu zamiast korzyści szkodę by krajowi przyniosło, niszcząc miejscowy ruch handlowy i tak niestety zbyt słaby. Przeznaczenie takiego targu międzynarodowego podług nas jest zupełnie jasne: uregulować ceny sprawiedliwie, nie dać się wyzyskać zbytecznie i ściągnąć uwagę zagranicy na nasze zasoby. Hurtowny kupiec zagraniczny może robić tranzakcję tylko z wielkimi posiadaczami majątków, na których odstawę terminową i odpowiedzialność może liczyć. W drobniejsze kupna, po paręset korcy wynoszące, nie chce się wdawać, gdyż w razie jakichbądź przeszkód, potem zysk jego nie wyrównałby stratom wynikłym czy to z powodu niedostawienia w terminie, czy innych gatunków, niż próbki przedstawiają. A jednak rzecz to bardzo zwyczajna w mniejszych folwarkach, na którą bardzo niesłusznie napadają różni kupcy i publicyści. Częstokroć gospodarz pomimo wszelkich z swej strony usiłowań nie jest w stanie albo wymłócić, albo odstawić na czasie sprzedanego zboża. Pora roku tyle u nas zmienna, najemnik jeszcze bardziej niepewny, stan dróg i narzędzi do młócenia, których reparacja naraża na tysiączne trudności — stawiają obywatela w bardzo przykrem położeniu. Co do gatunku taż sama bywa historja: próbkę daje taką, jak przekonanym jest, że wszystko zboże będzie, tymczasem przy młóceniu pokazuje się inaczej. Ztąd zawód, narzekania na nierzetelność, nowe targi i układy. Tymczasem z miejscowym kupcem zupełnie inny stosunek. On mając do czynienia z zagranicznym kupcem i na większą ilość, przyjmuje w rachubę wszystkie powyżej opisane okoliczności i tak swoje zobowiązania reguluje, aby zawsze miał w zapasie ilość zboża potrzebną do oddania na termin. Handel jest także umiejętnością, po większej części obcą obywatelowi ziemskiemu, dlatego owe nadzieje, pozbycia się pośredników, żaden targ, nawet międzynarodowy, nie ziści, i kuszenie się o to wygląda na illuzję. Owszem, niech będą pośrednicy w osobie kupców miejscowych, tylko niech mają konkurencję, odsuwającą monopol powiatowy. Dlatego śmiemy utrzymywać, że taki targ jak we Lwowje przeważnie i wprost korzystnie oddziała na stosunki kupców z kupcami, a dopiero pośrednio na producentów. Miejscowy kupiec śmielej kupuje kiedy ma pod ręką pewnego odbiorcę, z którego zwyczajami handlowemi zna się bardzo dobrze i wie jak mu usłużyć. Ostrzegamy zatem panów producentów, aby nie kwapili się zbytecznie z zawieraniem umowy z zagranicznymi kupcami, chyba na gotowy już towar i nie lekceważyli Mośków, Janklów i tym podobnych. Potrafią i ci wielcy handlarze zagraniczni, w razie spadku na zboże, być bardzo wybrednymi i mądrymi tak, że czasem z Mośkiem i Janklem daleko lepsza sprawa, niż z jakim grubszym handlarzem z Lipska lub Hamburga. Jeżeli to nie prawda, to proszę się zapytać naszych dyrekcyj banków i domów komisowych, którzy znając zwyczaje handlowe, nie jeden już orzech tego rodzaju zgryźli.

* * *

W ubiegłym tygodniu ukazała się we Lwowie broszura polityczna pt. *Uwagi obywatelskie nad sprawozdaniem poselskiem p. L. Wolskiego, przez wyborcę.*

Autor broszury na czele zaznacza, że od dwóch wieków występują u nas na arenę polityczną bądź publicystyczną ludzie, widok których i ich działań wstręt budzi i rodzi przekonanie, że na nich tylko bat byłby użytecznem lekarstwem. Chcąc to zapewne usprawiedliwić, autor napisał swoją broszurę z taką złą wiarą, tak poprzekręcał sprawozdanie posła Wolskiego, że rzeczywiście być może, iż bat tylko byłby skutecznem lekarstwem przeciw tego rodzaju elukubracjom. Autor domaga się, aby p. Wolski złożył mandat poselski i dlatego na książce podpisał się *wyborca,* lecz z całego toku widać, że właśnie nie jest on wyborcą, lecz prędzej delegatem do Rady Państwa.

W broszurze swej, gdzie w czambuł potępia Kalinkę i Wolskiego, Jankę i Skrzyńskiego, secesjonistów i demokratów, program samborski i tromtadracją (tak!) i t. d. i t. d., nazywa

p. Ludwika Skrzyńskiego *nihilistą*. My wiemy jednak, że kiedy zbierano składkę na oświatę ludu, nihilista ten dał tysiąc złotych reńskich i on jeden tylko w całym kraju dał tyle, chociaż jest bardzo wielu bogatszych od niego. — Daj nam Boże takich nihilistów jak najwięcej. I nic nie pomogą oszczerstwa z za płotu miotane; p. Ludwik Skrzyński pozostanie wzorem zacnego obywatela i wszyscy ludzie uczciwi szanować go będą.

* * *

Ze wszystkich zawodów, satyra najbardziej oszczędzała i oszczędza — lekarski. Czy to że zawód ten najmniej na zarzuty zasługuje, czy też że słabe jego strony są trudniej uchwytne, dość że ze strony krytyczno-satyrycznych żarcików stan doktorski jest najspokojniejszy i bardzo rzadko spotkać się można z czemkolwiek udałem w tym rorzaju. Z ciekawością też wielką przerzuciliśmy wyszłą w tych dniach w Warszawie broszurkę p. t. *Doctrina Perversa,* czyli *Nauki doświadczonego praktyka dane synowi, który w stopniu doktora medycyny z zagranicy wraca,* napisana przez *Jakóba Irenofila Elpenora.* Jest to w formie rad ojcowskich prawdziwa satyra na kierunek pewnej liczby lekarzy, a że napisana bez żółci, z humorem nieledwie dobrodusznym i bez przesady, więc nietylko samych lekarzy lecz i ogół zainteresować może, tem więcej, że niektóre ustępy nietylko do jednej klasy doktorów zastosowaćby się dały. Dla zabawy czytelników przytaczamy kilka krótkich wyjątków.

Ojciec, wzięty i zamożny lekarz, po powrócie syna, również lekarza, z zagranicy, wita go i na drogę praktyki lekarskiej udziela rad i wskazówek:

„Włóczyć się piechotą, jest to podawać się w podejrzenie, że nie jesteś wzięty, że nie będąc biegłym, zbywa ci na zdolności. Jakżebyś mógł żądać, aby nieuka wzywano i zdrowie mu powierzano? Możnaż rozsądnie przypuścić, aby szukano ratunku i pomocy u człowieka o nieumiejętność podejrzanego, gdy idzie gra o życie podpory familji, lub drogiej osoby? Zgoła zapowiadam ci, masz jeździć po mieście, albowiem inaczej wszystko by wyszło na licho... Jeżdżenie powozem, każdego na domysł naprowadza, że jesteś lekarzem zdatnym, żeś w takiej reputacji i tyle masz chorych, iż własne ci nie starczą nogi... W powozie miej zawsze kilka książek albo dzienników, a w przejeździe od jednego do drugiego pacjenta, trzymaj ustawicznie jedno z nich przed nosem i udawaj tak dalece w czytaniu zatopionego, iż znajomych przechodzących i tego co na ulicy wciąż się snuje, spostrzedz nie możesz. Oto są znamiona pilnego doktora, który zbawieniem ludzkości nieustannie zajęty i momentu płazem nie puszcza. Gdy powóz stanie przed domem, a lokaj karetę otworzy, niechaj cię on wprzód kilkakrotnem skubnięciem za połę lub rękaw obudzi, nim nos od książki lub książkę od nosa oderwiesz...

„Wydarzają się często w praktyce sposobności, które z zarobkiem dla kieszeni obracać możesz ku nabyciu u chorego zaufania i szacunku. Naprzykład, jeżeli kto zachorował na żołądek i niestrawne potrawy są przyczyną bolu głowy, nudności, gorączki itd., zapisz mu na wzmocnienie, aby nabrał sił dostatecznych do wytrzymania przedsięwziąć się mającej kuracji... Nazajutrz w tymże samym go stanie znajdziesz, w jakimś go wczoraj opuścił. Zapewnij go, że lekarstwo, z wielkiem twojem ukontentowaniem bardzo dobrze skutkowało i mocną gorączkę, którejś się na dziś spodziewał, szczęśliwie usunęło, ale że nie jest jeszcze wewnątrz tak, jak być powinno, bo się wiele żółci w żołądku nagromadziło, której przedewszystkiem pozbyć się należy. Zapisz mu na wymioty. Dnia trzeciego, gdy chorego odwidzisz, obmacaj go wzdłuż i wszerz; zapewniaj, żeś bardzo kontent ze skutku emetyku, ale powtórz, że wewnątrz jeszcze nie tak jak być powinno, że nie wszystka żółć mogła się zebrać w żołądku, że część onej wylała się do wnętrzności. Zapisz mu na przeczyszczenie, ale tak wymiarkuj, ażeby lekarstwo, co dwie godziny zażywane, dopiero następnego dnia skutkować mogło. Dnia czwartego doniosą ci, że choremu ulżyło. Upewnij z poważną miną, żeś to powiedział, że inaczej być nie mogło, ale że masz jeszcze niektóre wątpliwości, które jednak usunąć potrafisz. Zapisz mu kilka drachm soli przeczyszczającej, rozpuszczonej w sześciorako-różnych dystylowanych wodach, zafarbowanych jakimkolwiek syropem. Dnia piątego, gdy przyjdziesz, nie pytaj go nawet o zdrowie, ale raczej czy i kiedy wychodzić lub wyjeżdżać zamyśla. Opowiedzą ci z największą radością dobre powodzenie chorego; powinszuj mu, że góry już przebył, ale zwróć jego uwagę na to, że starać się pozostaje o to, ażeby zapobiedz recydywie, aby stępić przemagającą ostrość żółci, aby nadać żółciowym naczyniom sprężystość i moc do wstrzymania zbytniego napływu żółci i t. d., napraw mu i innych łacińsko - grecko-fizjologicznych spostrzeżeń. Zapisz mu teraz długą receptę wszelkich najnowszych wzmacniających lekarstw z roślin z Afryki, Azji i Ameryki przywożonych (bo u nas same chwasty tylko rosną) i nakaż, aby te krople w stuletniem winie zażywał. Oświadcz mu przytem, że go jutro jeszcze, jeżeli ci czas pozwoli, po południu odwidzisz, a to dlatego, abyś go jako lekarz pożegnał. Dnia szóstego, ku wieczorowi, jakeś przyrzekł, wstąp do niego, ubaw go rozmową o czemkolwiek, wspomnij mu nawiasowo o tem, czegoby się miał nadal wystrzegać i napomknij, że bardzo dobrze się stało, iż cię wcześnie do pomocy wezwano, albowiem inaczej, po dniach kilku choroba pewnieby groźną postać przybrała. Życz mu trwałego zdrowia, a podziękowanie, które ci złoży, przyjm tak, abyś dał poznać, żeś na nie zasłużył. Dane ci na wychodnem pieniądze, nie chowaj zaraz do kieszeni, ale trzymaj je przez czas jakiś w ręku, rozmawiając z pacjentem macaj je palcami, jak gdybyś chciał przekonać się, ile papierek zawiera. Może ten manewr spostrzeże i domyśliwszy się, podarunek jaki do mieszkania ci jeszcze nadeszle.

„Tak zwany lekarz-filozof nie wdawałby się w tak długie ceregiele. Dostrzegłszy niestrawność, dawałby co godzina choremu po drachmie soli czyszczących i lekki jaki napój, a tak gorączka i ból głowy ustałyby, sen spokojny orzeźwiłby przez noc chorego i ten wstałby drugiego dnia zdrów jak ryba.

„Weź teraz na uwagę zysk odniesiony przez ciebie z jednej, a przez filozofa z drugiej strony. Uzdrowiony dnia jednego chory i otaczający go krewni, poczytaliby rzecz całą za fraszkę łatwą do wyleczenia i niewymagającą wielkiej umiejętności i sztuki. Pozbytoby medyka paru talarami, jakby na piwo, zakonserwowanoby skuteczne recepty na przypadek potrzeby, udzielanoby jeszcze drugim w podobnych słabościach, a tak jegomość pan doktor piechur zarobiłby summa summarum dwa talary. Co do ciebie, możesz być pewny, że recepty twoje na nic nikomu się nie zdadzą; nabawiłeś takiemu domowi dość strachu, tyleś uzyskał tam zaufania, że w każdym przypadku po ciebie poszlą...

„Hipokondryki i histeryczne damy tak się mają do praktyki naszej, jak się mają osady czynszowe do folwarku. Tu dla nas żniwo. Podobnie lękliwi pacjenci i pacjentki, mocują się bezprzestannie z czterdziestu pięcioma defektami tak dalece, że o samych tylko udręczeniach swoich myślą. Przeto wzywają nas często, a nawet i rocznie godzą. Tych nawiedzamy przejeżdżając, aby im po recepcie zostawiać, tamtych zaś kurujemy pojedyńczo na każdy defekt z kolei. Tam to częste odbywamy konsylja, a jeżeli zbyt daleko rzecz posuwając, zanadto nam dokuczają, uspokajamy ich za pomocą opium i probujemy na nich tak długo jak tylko się daje wszystkie antispazmatyczne i histeryczne lekarstwa..

„Gdy uzbierasz tyle ile wymaga wygodne i spokojne życie, natenczas kuruj bezpłatnie. Wszak nawrócony grzesznik więcej znaczy, niż dziewięćdziesiąt dziewięć sprawiedliwych. Sercem ukochany Benjaminku, bądź roztropnym! Nie święci garnki lepią; nie ma rzemiosła bez klepanki. Skoro tedy wykupisz konsens i znak rzemiosła twego wywiesisz, praktykuj roztropnie, klep i klep tak długo, dopóki ci młota stanie...“

Przepraszamy autora za zbyt wiele może tych cytat; niech to będzie dowodem, że książeczka jego jest zajmującą, a zajmującą jest ona bardziej jeszcze, gdy się ją czyta całą, szczegół po szczególe.

Jeszcze o farbach świetlnych.

W Anglji od kilku miesięcy ciągle budzi powszechne zajęcie i wiele sprawia wrzawy nowy rodzaj malowania barwami posiadającemi własność fluorescencji i fosforescencji; są to malowidła świecące w ciemności, zwane od imienia wynalazcy: *Balmains luminous paint.*

Journal of the society of Arts podaje ciekawą wiadomość o malowidłach promieniejących w nocy światłem pochłoniętem podczas dnia, wskutek wystawienia pewnych przedmiotów na słońce. Kilka słów dla objaśnienia.

Oddawna już znano własności świetlne niektórych ciał, zwłaszcza też rozczynu siarkanu chininy (tego rodzaju badaniami zajmował się Jon Heschell i Bewster); lecz dopiero w r. 1852 Stokes z Cambridge ochrzcił to zjawisko mianem *florescencji.*

Polega ona na zdolności pewnych ciał pochłaniania krótkich fal świetlnych i następnego wypuszczania takowych w postaci fal o długich drganiach.

Z drugiej znów strony, poczciwy szewc boloński Vincenzo Casciarola odkrył bezwiednie w r. 1602 inne zjawisko świetlne, zwane *fosforescencją.*

Bawiąc się w alchemika, przypadkowo otrzymał on ciało posiadające własność świecenia w ciemności; nazwał je kamieniem lub fosforem

bolońskim; ciało to jak później okazało się, było siarkiem baru.

Następnie Baudoin w r. 1675 i Canton w roku 1761 otrzymali inny rodzaj fosforu przez prażenie skorup ostrygowych z siarką; jestto siarek wapniu, ciało nadzwyczaj silnie fosforyzujące.

Ów siarek wapniu, to jest połączenie siarki z wapniem, *Balmain* zastosował w malarstwie i tym sposobem nadał przedmiotom malowanym własność świecenia w ciemności.

Blask świetlny rzucany przez takie przedmioty przypomina światło kresy zrobionej w nocy na murze przez potarcie kawałkiem fosforu, lub zapałki fosfor zawierającej.

Przedmiot malowany barwami zmięszanemi z siarkiem wapniu, poprzednio nasłoneczniony przez wystawienie go na działanie słońca, wydaje blask przez 12—18 godzin; malowidła z siarkiem wapniu zachowują zdolność świecenia, to jest pochłaniania światła przez rok cały, nawet przy codziennem ich używaniu, bez względu na wpływ powietrza i zmiany pogody.

Gdy próby robione w londyńskiem Towarzystwie sztuk przez prof, chemji Heatona świetnie wypadły, wszechwładny przemysł skorzystał natychmiast z nowego wynalazku; przedmioty w ten sposób malowane znajdują się już w obiegu handlowym.

Mamy już świecące w nocy pudełka do zapałek, różne przedmioty z napisami świecącemi naświetlone jednorazowem użyciem elektrycznego światła; urządzono także lampki nocne, wydające bardzo przyjemne dla oka światło i wiele innych drobiazgów do codziennego użycia.

Ważniejsze są jednak zastosowania malowideł świetlnych do urządzeń bezpieczeństwa życia dotyczących, czyli do tak zwanego ratownictwa publicznego na morzu i na lądzie.

Praktyczni Anglicy użyli tego sposobn do malowania latarni morskich, statków ratowniczych wagonów kolejowych, wreszcie sygnałów lądowych i morskich; przedmioty te dość silnie w nocy świecące z łatwością można rozróżniać, a tym spdsobem uchronić się od wielu nieszczęśliwych wypadków.

W Anglji zamierzają oświetlać tunele za pomocą wagonów świetlnie pomalowanych, wydzielających w ciemnych galerjach fale światła podczas dnia w nich nagromadzone.

Pierwszą próbę takiego oświetlenia wykonała Great Northern Railway.

Wystawmy sobie pociąg kolejowy o kilkudziesięciu wagonach zanurzony w toni światła oświetlającego tor cały; ta masa pędzącego światła nie tylko wspaniały przedstawi widok, ale będzie nieocenioną zdobyczą praktyczną...

Ileż to przypadków na kolejach będzie można usunąć — ileż życia ludzkiego ocalić bez żadnych zabiegów... za pomocą barwy świetlnej!

Robią się także próby zastąpienia lamp do oświetlania wagonów w nocy używanych, ścianami naświetlonemi za pomocą światła elektrycznego.

Z dotychczasowych prób wolno wnosić o możności podróżowania w toniach swiatła słonecznego, uwięzionego przez drobny pyłek siarku wapna.

Wszechświatowy olbrzym w okowach.

Rzecz zaiste ciekawa!

Nikt się już nie przewróci i żeber nie połamie podczas ciemnych nocy na tradycyjnych drogach; powóz lub bryczka raz naświetlone rozwidniać będą bezdroża.

Każdemu wiadomo jak często zdarzały się nieszczęśliwe przypadki i straszne nieraz wybuchy w kopalniach i różnych fabrykach wskutek zapalenia się od płomienia gazów palnych.

Malowanie świetlne jak spodziewają się, zastąpi niebezpieczne latarnie i lampy do oświetlania kopalń używane; górnik w ubraniu pomalowanem barwami świetlnemi sam sobą oświetlać będzie podziemne ciemności.

Ubierają już nurków w odzież świecącą w ciemności pod wodą i jak doświadczenia okazały, takie ubranie nurka oświetla wodę na głębokość 27 stóp.

Malowanie więc świetlne ma wielką przyszłość i ważne zastosowanie w przemyśle powszechnym.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Henryk Sienkiewicz (Litwos) napisał nową powieść „Z kronik szlacheckich".

*** 99 tomik Bibljoteki Mrówki, który właśnie opuścił prasę, zawiera Aleksandra Morgenbessera nowy poemat p. t. »*Myślący Burmistrz*, poemat historyczny w 7 pieśniach«. Jakkolwiek prace p. Morgenbessera jak *Obrona Sokołowa, Palestra* tak i *Myślący Burmistrz* nie mogą być zaliczone do poezji rzeczywistej, to jednak pisane są z wielkim humorem i w sposób przystępny dla szerszych warstw społecznych, ztąd budzą większy od innych interes i są bardziej poczytne. Zanim dzienniki doniosły o wyjściu z druku tego nowego poematu, już setki egzemplarzy rozeszły się między publicznością.

*** *Dwie nowelle* J. Chorośnickiego: *Umarła* i *Noc księżycowa* opuściły prasę we Lwowie nakładem autora. Obie te nowelle były drukowane w Tygodniu w 1878 r.

*** W zeszłym miesiącu ukazał się tom XIII *Encyklopedji kościelnej*, obejmujący połowę głoski M.

W tomie tym na szczególną uwagę zasługują artykuły historyczne „O malarstwie" wogóle i u nas, te ostatnie pióra znanego archeologa Łuszczkiewicza.

Nadto zwracamy uwagę, że zamieszczono tu kilka prac w materji małżeństwa, które ze względu na bogatę treść, dla specjalistów prawa kanonicznego mają niepospolitą wagę.

*** W tych dniach w Warszawie ukazał się w druku traktakt Manninga p. t. „Grzech i jego następstwa".

Poważna postać kardynała, twórcy tego dzieła, jest rękojmią najlepszą jego wartości wewnętrznej.

Tłómaczenie, dokonane z oryginału angielskiego, odznacza się snmiennem opracowaniem i piękną formą.

*** Dla ludu i młodzieży zamierza p. Józef Grajnert wydać szereg powiastek historycznych.

Pierwsza serja powiastek jest już pod prasą.

Składać ją będą książeczki cztery:

W pierwszej z nich mieścić się będzie powiastka z czasów króla Sobieskiego pod tytułem: „Dwaj bracia litwini", oraz opowiadanie „O księciu Dymitrze i o Hryciu rusinie."

Książeczka druga obejmować ma powiastkę historyczną z ziemi kaszubskiej, pod tytułem: „Marcin Mrąga".

W książeczce trzeciej zawierać się będą: „Dziwne przygody Lorka Szlązaka".

Opowiadanie pod tytułem: „Przygody Czecha Tomaszka", osnute na tle wojny z krzyżakami i bitwy pod Grunwaldem, ukaże się w książeczce czwartej, zamykającej serję pierwszą.

*** Pani Zofja Mellerowa wykończyła nową, trzyaktową komedję p. t. „Kto winniejszy".

Ci, którzy mieli sposobność poznania tej najnowszej pracy utalentowanej autorki, zapewniają, iż posiada ona warunki scenicznego i literackiego powodzenia.

Sztuka pani Mellerowej, usiłuje być przyczynkiem do jedu ej z najżywotniejszch kwestyj obyczajowych.

*** Niebawem ukażą się w druku dwa nader zajmujące studja estetyczno literackie.

Jedno z nich jest nowe wydanie dziełka Piotra Chmielowskiego: „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego"; drugie Walerego Przyborowskiego: „Niewieście ideały naszych poetów".

*** W tych dniach wyjdzie z pod prasy dziełko dla młodzieży, illustrowane, pt. „Trójlistek", zawierające obszerny zbiór bajek i wierszy pana Ludwika Niemojowskiego.

*** „Listy do przyszłej narzeczonej" Juljana Mohorta wyjdą wkrótce w Petersburgu w przekładzie rosyjskim, według drugiego wydania polskiego.

*** Dzienniki angielskie podają wzmiankę pochlebną o nowej pracy dra Ogonowskiego, wydanej we Lwowie p. t. »*Studien auf dem Gebiete der ruthenischen Sprache*».

*** Dzieło p. t. »*Die Arbeitfrage. Ihre Bedeutung für Gegenwart und Zukunft. Von Friedrich Albert Lange*», 3cie wydanie z r. 1875, tłumaczone jest na język polski i wkrótce ma się ukazać na widok publiczny.

*** W Pradze czeskiej wyszedł nowy przekład poezyj Zygmunta Krasińskiego p. t. „Vybrane spisy", dokonane przez Kvapil'a, nakładem księgarza Otta, z przedmową, w której znajduje się żywot poety i wymienione jego zasługi.

W liczbie tych przekładów znajduje się: „Nieboska komedja", „Psalmy". „Przedświt" i „Trzy myśli".

O wartości tłumaczenia dzienniki czeskie wyrażają się pochlebnie.

*** W Paryżu pod naczelną redakcją p. Feliksa Pyata i przy współpracownictwie innego byłego komunisty, p. Protota, ukazało się nowe pismo p. t. „La Commune".

*** „Gazeta Rolnicza" w Nrze 39 z r. b. zawiera: 1. W sprawie metalicznej podstawy listów zastawnych Towarzystwa kredytowego Ziemskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał dr. Juljusz Au. 3. Jeszcze o przyczynach zmęczenia roli przez uprawę buraków, napisał dr. S. Kudelka. 4. Usprawiedliwienie projektu ustawy leśnej Królestwa Polskiego. 5. Listy Ex-Bociana, przez Faustyna Świderskiego. 6. Przegląd polityczny. 7. Wiadomości bieżące. 8. Meteorologia. 9. Rozmaitości. 10. Bibljografja i krytyka. 11. Kurjer rolniczy. 12. Odcinek zawiera: „Bolesna droga", przez Sygurda Wiśniowskiego.

Sztuki Piękne.

*** Wkrótce odbyć się ma licytacja oryginałów rysunków dla „Ziarna" przez artystów polskich złożonych.

*** W sferach artystycznych krążą wieści o odnalezieniu i nabyciu przez p. Cyprjana Lachnickiego w Warszawie okazałego oryginału Rubensa.

*** W „Ilustracji Gazuka" wychodzącej w Moskwie pomieszczono piękny drzeworyt, rylca Zofji Kossakówny, córki naszego malarza, przedstawiający żebraków ukraińskich.

*** W dalszej swej wycieczce artystycznej Józef Wieniawski zatrzymał się w Ostendzie, gdzie wystąpił z koncertem w d. 3 b. m.

Koncert, urozmaicony udziałem p. Dyny Beumer, śpiewaczki z Londynu i pana Józefa Hollmana, nadwornego wiolonczelisty króla Holandji, jak miejscowe pisma stwierdzają, należał do najświetniejszych.

Wieniawski grą swoją zachwycił wszystkich, a wykonanie „Poloneza“ i Życzenia“ Szopena wywołały niekłamany zapał w słuchaczach.

*** Wybiera się do Warszawy „skrzypek bezimienny“, ukrywający się pod pseudonymem „Paganini *redivivus*.“

Paganini popisywać się będzie w Eldorado...

*** Koncert Sarassatego. Znakomity skrzypek hiszpański, a właściwie portugalski, bo urodzony w Pampelunie, bawi obecnie w swojej ojczyźnie, gdzie go rodacy jego przyjmują z wielkim entuzjazmem.

W Zeszłym tygodniu, gdy powrócił do domu, zastał pałac cały zapełniony tłumem ludzi, którzy głośno żądali,, aby artysta ucieszył ich swoją grą na skrzypcach...

Sarassate musiał w końcu uledz temu oryginalnemu żądaniu publiczności i wyszedł na balkon ze swym instrumentem w rękach.

Frenetyczne oklaski powitały go, a potem cisza, jakby makiem zasiał zapanowała na placu.

Ale najniespodzianiej nadarzyła się przeszkoda w rozpoczęciu koncertu... w pobliżu bowiem odbywał się jarmark, pełen gwaru, hałasu i krzyków.

Kataryniki grały, przekupnie zachwalali głośno swój towar, nieznośny jarmarczny chaos mącił ciszę, w której miały się ozwać na placu słodkie tony skrzypiec.

Wówczas kilku zapaleńszych pobiegło na przyległe tagowisko z wieścią, że rodak-artysta będzie grał na balkonie swego domu i że dla tego potrzeba na kilka chwil uciszyć się i zaprzestać hałasu i krzyków.

Cały jarmark umilkł jak... jeden mąż!

Nawet wozy stanęły w ulicach, aby turkot nie przeszkadzał artyście i zrobiło się w całej dzielnicy tak cicho, jak w sali koncertowej.

Sarassatte położył smyczek na strunach i z natchnieniem, ogniem i uczuciem południowca zagrał rodakom swoim hiszpański taniec narodowy.

Rozumie się, że podziękowano mu gromem oklasków, jakich jeszcze nigdy nie słyszał w swej artystycznej karjerze.

Zapał słuchaczy nie miał granic...

Także podczas walki byków ulubiony artysta był przedmiotem gorących owacyj.

Gdy się ukazał w swej loży, cała publiczność powstała witając go głośnem pozdrowieniem i okrzykami.

Za każdym razem ofiarowano mu drugiego byka zabitego w arenie, na znak szczególniejszego faworu.

Szczęśliwy człowiek, wielbią go nietylko obcy, ele i swoi potrafili go ocenić...

Iluż artystów mogłoby mu tego pozazdrościć!...

Sarassate przez Hamburg, gdzie ma wziąć udział w wielkim koncercie, udaje się do Norwegji, a z powrotem wstąpi do Warszawy.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** W Berlinie projektowane jest urządzenie w roku 1882 międzynarodowej wystawy kolei żelaznych: myśl urządzenia powszechnej wystawy międzynarodowej nie znajduje poparcia.

*** Alkohol i strychnina. Dr. Luton, profesor kliniki terapeutycznej w Reims, wielce zajmował się ciągłym postępem alkoholizmu, doskonale dającym się obserwować w podobnie dużem, fabrycznem, a nadto przeważnie zajmującem się wyrobem wina mieście. Środkiem zalecanym przez niego na tę niemoc jest wronie oko, a raczej strychnina, alkaloid z wroniego oka otrzymywany. Jeszcze w 1873 roku wykazywał on leczniczą skuteczność strychniny w formach klinicznych alkoholizmu, mianowicie przy obłędzie opilczym (delirium tremens), pomimo innych dodatkowych przypadłości, jak zapalenie płuc, nawet zgorzelinowe podrażnienie przewodu pokarmowego, traumatyzm itp.

Obecnie p. Luton stara się stosować użycie tego leku, jako *środka uprzedzającego* przeciwko ukrytym formom alkoholizmu i nieuchronnym jego w następstwie wybuchom. Smakosze z klasy zamożniejszej, mający na zawołanie łatwo i ciągle dobre wina, stają się ofiarami ukrytego i bezwiednego alkoholizmu. Bywa on także okolicznościowy, pochodzący np. od używania absyntu tak rozpowszechnionego w krajach gorących, dla podniecenia słabej działalności organów trawienia, a i w Europie nadużywanego, od używania likieru chartreuse, wody melisowej karmelickiej, eteru, coraz bardziej szerzącego się w Anglii. Nakoniec istnieje jeszcze alkoholizm, który zawodowym (profesjonalnym) nazwaćby można, właściwy kupcom win, zmuszonym pić z gośćmi, destylatorom, kiprom a szczególniej robotnikom pracującym w piwnicach i składach win, których umyślnie podsyca się winem niższych gatunków, ażeby nie łaszczyli się na dobre wina, z jakiemi mają do czynienia, a którzy szybko kroczą ku obłędowi opilczemu. Podobne osoby same dobrowolnie, a robotnicy z rozkazu chlebodawców swoich powinniby się poddawać leczeniu zapobiegawczemu przez używanie strychniny. Alkaloid ten łatwo domieszywać można do napojów gorzkich, jak wódki gorżkie, curagao, wermut i podobną mieszaninę brać po użyciu innych napojów. Takie ciecze strychninowane mogłyby być upoważnione przez prawo, a użycie ich gorliwie zalecane wszystkim, którym alkoholizm zagraża.

*** Wartość pokarmowa rosołu. W ostatnich czasach dr. E. Brücke, znany fizjolog, na jednem z posiedzeń sejmu w Niższej Austrji, wystąpił z następującą uwagą: „Doszło do mojej wiadomości, że istnieje zamiar dawania rosołu więźniom dla polepszenia ich pożywienia. Przypomniało mi to, jak błędne pojęcia panują jeszcze wśród ogółu o pożywności podobnego pokarmu. Zostały one rozpowszechnione przez bardzo słynnego i popularnego uczonego (Liebiega), który słusznie zasłużoną sławę pozyskał na innem polu, ale bynajmniej nie w dziedzinie medycyny i djetetyki. Pokazało się, iż uczony ten bardzo się pomylił i wraz z sobą w błąd wprowadził publiczność. Rzecz się ma po prostu tak: Pewna oznaczona ilość mięsa, jakkolwiek nie bezwzględnie, wszelako w pewnych warunkach, dla pewnych osób, przy spełnianiu pewnej mechanicznej pracy, jest niezbędną w pożywieniu. Wszystko jest jedno, czy się je mięso upieczone, czy też naprzód rosół z niego przygotowany, a następnie wygotowane mięso. Muszę tu zaznaczyć wyraźnie, że mięso w pożywieniu nie mniej ważny element stanowi, jak rosół z niego. Sam rosół, bez innego odpowiedniego pożywienia może ogłodzić człowieka. Nie ma żadnego sensu, polecać rosół jako ulepszenie pożywienia, wypada raczej zwiększyć porcje mięsa. Dlatego będę głosował przeciwko dawaniu rosołu więźniom.“ Ostatecznie wniosek karmienia więźniów rosołem — upadł.

*** Piecyki żelazne. P. Fischer w dzienniku Dinglera „Politechnisches Journal“ rozbiera liczne dawne i nowsze badania, przez bardzo wielu uczonych dokonywane nad ważną kwestją: czy przenikanie tlenku węgla przez ściany piecyków żelaznych może być dla zdrowia niebezpiecznem? Ostatecznie przychodzi do wniosku, że przy pewnych okolicznościach podobne przenikanie tlenku węgla i kwasu węglanego wątpliwości nie ulega. Zakażenia powietrza w tym razie uniknąć można przez wylepianie ścian piecyków wewnątrz gliną ogniotrwałą lub wyłożeniem ich kamieniem ogniotrwałym, co ochrania je od rozpalania się do czerwoności. Należy także baczyć, ażeby przez stosowne urządzenie paleniska jak najmniej przy paleniu wytwarzało się tlenku węgla. Okoliczność ta tem bardziej zasługuje na uwagę, że i w zwykłych piecach przez znajdujące się zawsze szczeliny, gazy wytwarzające się podczas palenia łatwo mogą wydostać się na zewnątrz i silnie zanieczyszczać powietrze. Przy zachowaniu więc odpowiednich ostrożności, piecyk żelazny również dobrze jak kaflowy używanym być może.

*** Tunel podkaletański. Od niejakiego już czasu nie słyszymy o tunelu pod cieśniną kaletańską, tak, że możnaby sądzić, iż promotorowie jego zwątpili o powodzeniu. Wszelako tak źle nie jest. Zarząd kolei południowo-wschodniej (South-Eastern Banway) ogłosił sprawozdanie z ostatnich badań, prowadzonych od kilku miesięcy przez własnych inżynierów. Badania te dowodzić się zdają, że pokłady geologiczne nietylko mają ten sam układ po obudwu stronach kanału, ale nawet posiadają jednakową grubość; że warstwa znana w Anglii pod nazwą *starego wapienia szarego*, a we Francji *kredy bonońskiej* jest nieprzesiąkliwa i bez szczelin i że początek tunelu w Anglii leżeć będzie w pośrodku tej warstwy, na kierunku drogi żelaznej południowo-wschodniej, między Falkestone i Douvres. Wskazówki te zapewne są bardzo pocieszającemi, wszelako wolelibyśmy coś wiedzieć o niektórych z bardzo licznych kwestyj podnoszonych dawniej. Tymczasem obecnie musimy poprzestać jedynie na faktach wyżej wymienionych.

Odkrycia i wynalazki.

*** W ostatnim numerze „Inżynierji i Budownictwa“ spotykamy opis „integratora“ nowego wynalazku docenta techniki lwowskiej, Brunona Abakanowicza.

Zadaniem „integratora“ jest mechaniczne całkowanie, czyli integrowanie pewnej formy równań różniczkowych.

Pomysł ten może znaleźć zastosowanie w rozwiązywaniu zagadnień mechanicznych, oraz fizycznych.

*** Elektryczność zecerem. Donosiliśmy już dawniej o dowcipnem wielce zastowaniu machiny do składania czcionek w drukarni wielkich dzienników, oraz o zastosowaniu telefonu do reprodukcji debatów parlamentarnych w dzienniku „Times“ Obecnie dziennik „l'Electricité“ o nowym donosi postępie. Opowiada on mianowicie, że pewien zdolny mechanik pracuje nad urządzeniem w ten sposób komunikacji telegraficznej, że samo jej przesyłanie wprowadzać będzie w ruch odpowiedni ową machinę do składania czcionek. Tym sposobem znika potrzeba reportera i sam zecer będzie mógł pracować bezpośrednio w gmachu parlamentu. Najtrudniejszą rzeczą dla wynalazcy było umożliwienie przez zecera kontroli nad czynnością machiny w zecerni, którą kieruje z odległości; wszelako trudność ta ma być już szczęśliwie pokonaną.

*** O osobliwszem odkryciu otrzymała doniesienie z Aten redakcja londyńskiego „Athenaeum“.

Niedawno rząd grecki wysłał był na sławne pobojowisko cheronejskie dyrektora muzeum archeologicznego, p. Stamatakisa, z poleceniem, ażeby się zajął wydobyciem z ziemi i ustawieniem znanego zabytku starożytnego, tak zwanego lwa cheronejskiego.

Otóż przy rozkopywaniu ziemi w około tego pomnika, natrafiono na śmiertelne szczątki bohaterów, którzy polegli w pamiętnej bitwie pod Cheroneą...

Zwłoki spoczywały w trzech dużych oddziałach, z których każdy składał się z sześciu szeregów.

Zdaje się, że pochowano poległych w takim porządku, w jakim walczyli.

W pierwszym oddziale znaleziono 77 szkieletów, w drugim 41.

Odkopywanie trwa jeszcze ciągle.

Według podania, lew cheronejski zdobił mogiłę 300 poległych członków świętego zastępu tebańskiego, z czegoby wypływało, że oprócz już odkopanych, znajdować się powinno jeszcze w ziemi 182 szkieletów.

Przy zwłokach leżały szczątki broni, guziki i inne drobniejsze przedmioty, wielkiego znaczenia dla archeologji.

Co do odkopanych kości, zarządzono wszelkie możliwe środki, ażeby je uchronić od rozsypania się przy wydobywaniu z ziemi.

ROZMAITOŚCI.

Z dziedziny mody.

Każde przejście z jednego sezonu do drugiego daje kapłanom mody nowe do popisu pole...

Rozpoczyna się pogoń za oryginalnością.

Nową oryginalną jest rzeczą zrobić krótkie okrycie, jeżeli dotąd noszono długie, ubranie na sukni przenieść z lewego boku na prawy, zapiąć stanik z tyłu, jeżeli go dotąd zapinano z przodu itp.

Nową jest — zaczerpnąć pełną ręką z kostjumologji przeszłości, choćby z najróżniejszych epok, stworzyć cokolwiek bądź innego niż to, co obecnie jest noszonem.

Oto — lato się skończyło, chłodna nadchodzi jesień — maluczko, a nastaną zabawy przedadwentowe...

Doprawdy, jest o czem myśleć...

Dzień więc każdy przynosi w tym kierunku coś nowego.

Nie idzie zupełnie za tem, żeby wszystkie te *nouveautés* były za dobre uznane i trzymały się na stanowisku, jakie im ich twórcy przeznaczają, ale są to mniej więcej udatne próby, z których się przecież coś stanowczego na jesień wykłuje...

Zjawiskiem, które ma wszelkie szanse utrzymania się „na wysokości sytuacji", są rękawy z koronek.

Staniki wycięte, szalowe, żakiety i fraczkowe staniki nie mają już rękawów.

Na ich miejsce układa się koronka, najczęściej biała, która przytrzymuje się dużemi kokardami, na ramieniu zaś, kokardą lub bukietem jakby epoletką przytwierdzoną zostaje.

Rękę aż do łokcia pokrywają długie, na mnóstwo guzików zapinane rękawiczki.

Niektóre damy, szczególniej w tualetach wizytowych i teatralnych, zastępują rękawiczki mitynkami z prawdziwych brukselskich koronek.

Przytem palce zdobią się kosztownemi pierścieniami, ktore znowuż prawo obywatelstwa zyskały, jakoteż i naramienniki »*porte bonheur*«, połączone z pierścionkiem na palcu, delikatnym, złotym łańcuszkiem.

Kólczyki i brosze rzadko natomiast są używane.

Jako nowość również zaznaczyć wypada, że bluzki bufiaste, dotąd noszone do ubrań porannych, przeszły obecnie do tualet wizytowych.

Pod wyciętemi na przodzie połami żakieta, zamiast kamizelki, używane są takie bluzki z *crèpe de Chine*, lub podobnego materjału, a nawet z koronek.

Używają także bluzek przy wyciętych stanikach, przy których tworzą t. z. *chemisette'ki* albo modestki, tak samo jak stanik wycięte.

Do ubrania najmodniejszych sukien używane są bardzo prawdziwe koronki białe, szerokie prawie na rękę, z których tworzą się wolanty pokrywające całą krótką spodnicę.

Do tego nosi się żakietę i upięcie szarfowe z materji ciemniejszej.

Ubraniu temu dano nazwę *Fénélon*.

Jako przykład, podamy spodniczkę koloru malinowego, przykrytą koronkami, a do tego żakietę z purpurowego aksamitu i szarfę takąż tkaną złotem, z której zrobiony jest węzeł.

Kolor zwany *bordeaux* jest dziś w wielkiem użyciu — przeważa on nieustannie.

Staniki trykotowe, które obecnie przybrały nazwę: *toilette Jersey*, również przy takich spodniczkach koronkami przykrytych, będą noszone... spodziewamy się jednak, że tylko zagranicą.

Oprócz tego, poły żakietów równie koronkami ubierać zaczynają.

Hafty również w modę wchodzą.

Ozdabiają niemi szarfy, poły a nawet same suknie.

Hafty ręczne większem aniżeli maszynowe cieszą się uznaniem.

Materje łyczkowe, *ecrues*, także bogato pokrywają kaftan *á jour* w tym samym kolorze.

Ozdabiają je też złotemi piórkami, albo materją.

Pierwsza podkłada się jasnem *surah* a drugie gładkim fularem.

Z kapeluszy najmodniejsze są, zwłaszcza do noszenia przed południem, białe kapotki z kolorowemi jedwabnemi podbiciami.

Forma ich jest bardzo podobną do dziecinnych czepeczków — dla młodych osób są one bardzo stosowne.

Od ostatnich promieni słońca piękne panie osłaniają płeć swoją również nowo wynalezionemi parasoleczkami prawdziwie minjaturowemi...

Zowią się *King Charles* — malutkie, pokryte piórami pawiemi i zdobione frendzlą z długich piór pawich, noszone są na rękach jak... małe pieski!

Z piór pawich robią się także i kapelusze, a na zimę podobno przygotowują z nich również kołnierzyki na wacie, materją podbite, które podobno bardzo ciepłe być mają.

Wreszcie jeszcze jeden drobny szczegół.

Zamiast turniur noszą się pół-spodnice, bez fartuszków, których zadaniem jest krótkie suknie z tyłu odpowiednio podtrzymywać.

Robią się one z perkalu lub *mohair* i szeregiem małych wolantów tak są ubrane, aby cel swój osiągnęły...

U perkalowych jako ozdoba daje się prosto krajany wolant z główką, u innych wolant wązki skośny.

Piekielne gazety.

W Niemczech coraz bardziej upowszechniać się zaczyna zupełnie nowy rodzaj przymusu osobistego przeciwko złym dłużnikom w stosunkach handlowych.

Oto zakładane są stowarzyszenia ochronne przed złymi dłużnikami i wydawane t. z. „Piekielne gazety", mieszczące listę dłużników niepłacących wierzycielom, którzy należą do stowarzyszenia, ich słusznych należności.

Gazetki takie wychodzą już w kilku miejscowościach; między innemi w Chemnitz (w Saksonji) ukazuje się podobne pisemko p. t. »*Mutua Confidencia*«.

Piekielne gazetki są rozsyłane, jak dotąd, tylko członkom stowarzyszenia, którzy obowiązują się nie pokazywać ich nikomu innemu; rzecz prosta, jednak nie tak łatwo tego dotrzymać...

Są jednak przemysłowcy, którzy obstają za tem, ażeby gazetki były rozpowszechniane po za obrębem stowarzyszenia; twierdzą oni mianowicie, że od nierzetelnych dłużników chronić trzeba nietylko członków stowarzyszenia, ale też i innych handlujących.

Inni znowu twierdzą, że ten sposób przymusu jest niemoralnym i niewłaściwym, gdy bowiem istnieją wskazane przez prawo środki egzekucji swych należytości, nie należy się uciekać do czegokolwiek więcej...

Ogół jednak nie zgadza się na ten pogląd i większość twierdzi, że jeśli ktoś nie wstydzi się być winien komuś kilkudziesięciu lub kilkuset marek, nie powinien się również wstydzić opublikowania tego dla wiadomości ogółu; zresztą droga sądowa również wymaga jawności.

Wyjątek w tym względzie, zastrzedz należy, stanowi tylko zupełna niemożebność uiszczenia w danej chwili i nędza...

Dodać należy, że stronnicy nowego środka przymusowego żądają przedewszystkiem skrupulatności i ogłaszania tych tylko dłużników, co do których istnieją nienlegające kwestji dowody; zresztą wybór ludzi uczciwych i rozumnych do zarządu stowarzyszenia powinien dać gwarancję sumienności, chroniącej od wszelkich naduzyć.

W rezultacie środek ten zaczyna się upowszechniać bardzo szeroko — i wszyscy prawie kupcy i przemysłowcy tych gałęzi, w których podobne stowarzyszenia istnieją, zaczynają do nich przystępować.

Jak dotąd, za pomocą „piekielnych gazetek" ogłaszane są tylko mniejsze długi, rzadko przenoszące 100 marek — i przeciwko stosunkowo dostatnim dłużnikom, przez niedbalstwo, lekkomyślność lub też skąpstwo niepłacącym tego rodzaju drobnych wierzytelności, najlepszą jest bronią ów środek.

Przemysłowcy twierdzą, że droga sądowa przy egzekucji podobnych należności jest zbyt kosztowną i kłopotliwą.

Dodać należy, iż członkowie tego rodzaju towarzystwa ochronnego płacą rocznie od 12 do 15 talarów, za co już otrzymują odpowiednią gazetkę.

Jak rzekliśmy, stowarzyszenia podobne i „gazetki" coraz bardziej rozpowszechniać się w Niemczech poczyniają.

Oto np. niedawno stowarzyszenie ochronne przemysłowców wełnianych (*Schutzverein der Wollen-Industrie gegen schlechte Zahler*) uchwaliło wydawać własne pisemko i zarządzić inne środki ochrony przed nierzetelnością dłużników, a fabrykanci żelaźni opracowują właśnie projekt podobnej instytucji...

Rzecz przeto ma widocznie pewne zalety praktyczne.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim" zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego" we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 40. str.

Z powodu wystawy etnograficznej w Kołomyi . 621
Z ciężkich dni, powieść historyczna, napisał Teod. Tom. Jeż (c. d.) . . . 622
Jakób Abraham Garfield . . . 624
Listy z kraju, Kołomyja . . . 628
W domu przyjaciela wiersz, przez M. Romanowskiego 629
W jaki sposób redagowałem gazetę rolniczą, humoreska Marka Twaina . . 629
Teatr. 630
Kronika tygodniowa 632
Jeszcze o farbach świetlnych . . . 633
Wiadomości z kraju i ze świata . . 634
Rozmaitości 636

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.